

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 11. V. 1952 r.

Nr. 19 (353)

STANISŁAW PIĘTAK

PISMO NA WIEŚ

Młoda jaskółka dotyka w locie skrzydłem wód
i zatrwożona w pogodne niebiosa pierzcha.
Tak i ty, drogi przyjacielu, biegniesz, i znów
jakby od lęku w piersi brakło ci powietrza.

Zatroskany długo idziesz przez wieczorne mgły,
przystajesz rankiem na ojcowskiej, dawnej ziemi,
i myśli nie łagodzą w męce zrodzone sny,
a jednak wstajesz, zdążasz krokami spiesznymi...

W świetlicy po robocie słuchając muzyki,
wspominasz czas dawnej walki swej jak młodości łzę.
Boisko w słońcu rozprzestrzeniać będą krzyki.
Ujrzyś syna, który z pieśnią szedł będzie na sen.

Już zasypiając, usłyszysz jego miękki szept.
O wynalazkach mówił będzie, o strumieniach
wezbranych, którym ludzie prostują wczorajszy bieg.
Noc... Powiedzie w przyszłość cię przyjazna już ziemia.

Stanisław Piętak

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

POWROT DO GNIAZDA

Bohater: mój jak dziś pamięta
Lata, gdy bawił się nad Srebrną.
Wiosną topiono w niej szczytę,
Z dna jak wrak sterzy końskie żebro.
Cuchnęła, w ruder gąszcz wciśnięta,
Pokryta skrzekiem jak twarz febra...
Z papieru, z drewek łódki klecił.
Z nim inne robotnicze dzieci.

Ta grzybnia domów zwie się Piachy.
Omszałe gonty, dziuple okien,
Skąd widać przez zakłęsłe dachy,
Jak fort, stojące czworobokiem
Hale fabryki „ciężkich machin”.
Kryżę ją nekaj; stąd przed rokiem
Ojciec z kotłarni był zwolniony.
W biurze szeptano, że czerwony

Znał swa miścinę, skwer, wyboje,
Mieszczuchę nastroj poobiedni.
Spoglądał z tęsknym niepokojem
Na dwie rudery dwóch szkół średnich,
Gdzie w sumie siedemdziesiąt dwoje
Chodziło dzieci. W dzień powszedni
Spi miasto, budzi się z letargu
W dni świąt państwowych i w dzień targu.

Z mym młodym bohaterem potem
Bywało — słyszę — rozmawiać.
Surową mu stawiała notę
Szkola kształcąca nieźle — życie.
Jak ojciec tego robił młotem,
By, w partii, czytał — również skrycie,
Wiele miast poznał, lecz na pewno
Myślą przebywał nad Srebrną.

Aż w roku pięćdziesiątym drugim
Przyjeżdża do rodzinnych kątów
Technik z awansu, a z zasługi
Kierownik, stary lew transportu...
Mija „tych lepszych” ulic smugi,
Gdzie stoją pod draperią gontów
Mieszkańskie domy. Oto w szkole ich
Dziś mech przegląda się z kolei.

Lecz gdy na Piachy i nad rzekę
Przyszedł, by w zmarszczkach jej odnaleźć
Cień łódki, którą przed ćwierćwiekiem —
Z dzieciństwem wraz — zabrały fale,
Patrzy: junaczek dlonie lekkie
Flancują astry, gdzie kiś zalew
Od lat, a dziś bez sentymentu
Stracony w świeży rów z cementu.

A nieopodal stąd, na rynku —
Zaczyn ludowej przebudowy —
Opalizuje bielą tynków
Blok ZOR-u w stylu pałacowym,
Stało tu niegdyś dziewięć szynków
I wielk krzywych bud czynszowych.
Z tym blokiem, patrz, współzawodniczy
Technikum dzieci robotniczych.

W zgłęku fabryki pilnie łowił
Rytm wzrostu. Niegdyś — ledwie żywa,
Gdyż bank z wyroku giełd i znowy
Od maszyn twórczą dłoń odrywał.
Więc, że w nim znalazł wyraz nowy —
Zie, gdy zastępy kształt rozkuliwa —
Tym mocniej kocha i tym śmieiej
Miasteczko, jakich dzisiaj wiele.

Mińsk Maz. 1952

WIEŚLAW JAŻDŻYŃSKI

„Czujka wystawiona na pierwszej linii frontu”

KIEDY Łuciński, syn chłopca zamieszkałego w powiecie szczecińskim, pisał pierwszą w swoim życiu korespondencję do „Trybuny Wolności”, nie wiedział — jak wspomina — „gdzie stawia się kropkę, gdzie przecinek”. Ukończył zaledwie 3 klasy szkoły powszechnej, podobnie jak wielu synów chłopskiej biedoty nie umiał władać wprawnie piórem.



Foto CAF

A jednak wziął je do ręki, nie mógł patrzeć spokojnie na okradanie PGR-u w Chodźowie, skąd „wprawy” buchalter czerpał „pieniądze jak kulem wodę ze studni”.

Łuciński nie był pewien skutków swojej korespondencji, nie był nawet pewien swojego losu. Zatrzymywali go wieczorami na drodze spekulanci, którzy puszczały w obieg kradzione pieniądze, przynosili poczytylon anonim z groźbami, wysyłane z okolicznych miasteczek. Straszono go prokuratorem, obcywano aresztowanie i uwięzienie. Tymczasem „Trybuna Wolności” sprawdziła wiarygodność korespondencji, ogłosiła ją, a szkólnikami zajęły się terenowe władze naszego państwa.

W atmosferze pierwszej korespondencji Łucińskiego dwie są sprawy niezmiennie ważne. Po pierwsze skłóciła je chłopska ręka w warunkach ostrej walki klasowej. Korespondencja terenowa, demaskowanie wroga na łamach prasy stało się w masach popularną formą tej walki.

Łuciński pisał po raz pierwszy w życiu przeszło 3 lata temu, kiedy śmiał, zdecydowane wystąpienie przeciwko klasowemu wrogowi — jak — często — groziło utratą życia. W fakcie tym leży bohaterstwo wielu korespondentów.

„Mama mnie kocha — pisał Stanisław Markwas korespondent „Rolnika Polskiego” — to bardzo się boję, żeby mnie kto nie zabił, proszę mnie, żeby mi zaprzętał tej roboty, no a mnie nie wruszają kulackie groźby, bo wam się przyznaję, że jak nie mam trudności w swoim życiu, to mi się zdaje, że mam już 100 lat, że wszystko jest lekkie i łatwe, no i że nie warto żyć”.

Obaj dobrze wiedzieli, że wróg nie przebiera w środkach. Dla zlikwidowania korespondenta gotów jest użyć nie tylko groźby, przekupstwa, czy szantażu, ale chwytą skrytobójczy za rewolwer. I ten właśnie fakt zamiast odstraszać — działał i działał przeciwnie: hartuje korespondentów, kształtuje ich nieugiętą polityczną i moralną postawę. W jednej z odezw do robotników Lenin pisał: „Pokój jest wykluczony: kulaka można, i łatwo można, pogodzić z obszarnikiem, z carem i klechą, nawet jeśli się poważyli, ale z klasą robotniczą — nigdy”.

Nasz terenowy korespondent — „czujka wystawiona na pierwszej linii walki” — w pakowanie z wrogiem się nie bawi.

A teraz sprawa druga. Markwas wspomina, że pierwsze jego korespondencje, pisane jeszcze z ławy szkolnej podstawówki pod Ostrołęką, nie odnosiły spodziewanego skutku. Zaplakana matka błagała, by zaprzestał pisanie, po całej okolicy chodziły słuchy, że młodego ZMP-owca dosięgnie niebawem kara za ataki na bogaczy wiejskich. Pierwszą jego skuteczną korespondencją pojawiła

się w roku 1950. W tym samym czasie buchalter z Chodźowa i jego połącznicy, zdemaskowani przez Łucińskiego, ponieśli zasłużoną karę.

Pierwsze zwycięstwa obu korespondentów, piszących z odległych od siebie stron kraju nie przypadkowo zbiegły się z historycznymi wydarzeniami roku 1950. Nasza władza ludowa powiązała się jeszcze w silniejszy sposób z milionowymi masami

ganizujących nasze społeczne życie. Nagrodzony ub. roku orderem Polski Odrodzonej korespondent „Gromady” i terenowy pisarz „Wsi” — Seweryn Skulski zdemaskował ostatnio nieuczciwych pracowników GS-u w Jastrzębii (pow. Lipno). Uprawiali oni pewien nadzwyczaj dla nich korzystny proceder, sprzedawali mianowicie chłopom mokry węgiel, a na czarnym rynku spekulowali nadwyżkami powstałymi z tego oszustwa.

Mieszkańcy przysiółka Charytany (gm. Łaski, pow. Jarosław) upoważnili swojego korespondenta do publicznego odkrycia w ich imieniu przebiegów gospodarczych sklepowego GS-u Franciszka Wierzbickiego, znanego alkoholika, rozprowadzającego cenniejsze towary „za małą dopłatą” pomiędzy bogatych „kumotów”.

Są to sprawy, jakich tysiące przeżywa się nieustannie przez łany pracy robotniczo-chłopskiej, sprawy — wydawać by się mogło — dokuczliwe, ale drobne. Tymczasem jest akurat przeciwnie. Nie chodzi już w tej chwili o to, że gromada upoważnia korespondenta, by w jej imieniu uderzył w złodzieja społecznego dobra, że można już mówić o coraz wyraźniejszej jednoci moralno-politycznej pracującego chłopstwa, przeciwstawiającej się nadużyciom władzy i wyzyskowi. Idzie o zaakcentowanie faktu, że chłopci nie dyskredytują, nie łamią przez swego korespondenta naszego aparatu władzy, lecz chcą go przeobrazić, usprawnić, nadać mu socjalistyczną treść. Krytyka ma tu tylko pozornie ujemny charakter. W gruncie bowiem rzeczy oznacza votum zaufania dla naszej władzy, gdyż tylko tej pracy i organizacji, w którą się wierzy i kocha towarzyszy czujność i troska mas.

Pomówimy z kole i Innym, nie mniej ważnym sensie rozmowy władzy kierowniczej i mas, prowadzonej

ce?

Sila naszego aparatu władzy polega na tym, że jest on ściśle związany z masami, że łączy w sobie dwa widzenia spraw kraju, bynajmniej nie przeciwstawne, lecz uzupełniające się. Jedno, niejako ogdorne, kierownicze, drugie — oddolne, widzenie rzeczywistości przez masy pracujące.

A słabość leży w tym, że naszą pracę zniszczalną, wypaczają i sabotują tkwiące jeszcze tu i tam w aparacie władzy wrogie elementy biurokratyczne, dawny oficyalista dworski w PGR-ze starannie ubrany w kostium, ideologiczny szczerzy demokracja, „przyjacielu ludu z dziańda prazdiada”, spekulant w GS-ie, czy „nowy pozytywista” nie rozumiejący potrzeby stałej walki o podnoszenie świadomości politycznej mas.

Aparat władzy jest oczywiście konieczny do utrzymania. „Bez aparatu — mówił Lenin — dawno byśmy



Foto CAF

nieustannie na łamach prasy robotniczo-chłopskiej. Powstałoby pytanie: dlaczego masowej, idącej z dołów tysięcy gromad krytyki nie można w żaden sposób zastąpić — jak mówił Józef Stalin — „krytycznym, traktowaniem od góry”?



Foto CAF

W jednej z gromad gminy Morawica pod Kielcami zdarzył się charakterystyczny wypadek, opisany przez korespondenta. Przeważająca we wsi biedota chciała dla celów gospodarczego ożywienia wykorzystać naturalne zasoby ziemi. Chłopi zgłosili do GRN projekt wydobywania wysokowartościowej gliny a następnie produkcji cegieł, pustaków i kra-

wężników betonowych. Zgłosili projekt w nadziei, że nie tylko postawą sobie nową, piękną murowaną wieś, ale że równocześnie dostarczą materiałów budowlanych powstającym osiedlom robotniczym. Jak dotąd nie z tego nie wyszło, ponieważ GRN nie chce podjąć chłopskiej inicjatywy tłumaczyć, że skoro glinę wydobywali za sanacji kulacy, to wznowienie produkcji oznaczałoby kontynuowanie polityki gospodarczej z okresu Polski kapitalistycznej.

Warto by się zastanowić nad wyrażeniami w morawickiej gminie i to nie ze względu na stanowisko GRN, której ojcowie zapewne już naprawili swój błąd. Zainteresujmy się gospodarczą inicjatywą chłopów.

„W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi” — mówi artykuł 1 projektu Konstytucji. W języku praktyki terenowej oznacza to m. i., że chłopca pracującego, współgospodarza kraju, powinien cechować gospodarski stosunek do społecznego dobra, gospodarska troska o należyte jego wykorzystanie. W gminie Morawica chodziło o użytkowanie gleby na cele socjalistycznego budownictwa, w Budzynie powiatu międzychodzkiego o leżące odlegiem 273,61 ha ziemi. W gromadzie Węglewo posiadają chłopci 12 siewników, ale nie zadali sobie trudu dokonania remontów. I gdyby nie gospodarska troska małorolnego chłopca, który zaalarmował listem redakcję, w pole wyruszyłby wiosną jeden siewnik. Wyjechały jednak wszystkie.

I znowu mieliśmy przed oczyma wydarzenia na pozór małe, zwykłe interwencje w sprawach na oko nie najważniejszych. A przecież w nich właśnie wyraża się dorastanie mas chłopskich do zarządzania, współgospodarowania węgłiem w GS-ie, finansami PGR-u, siewnikami, ziemią w gromadzie, bogactwami naturalnymi, dobrem społecznym.

Soltys Jan Jessa z Jabłonowa odnotował z prawdziwą dumą w kato-wickim „Korespondencie” swoje zeszłoroczne osiągnięcia produkcyjne: „Czy kto wierzy, czy nie wierzy — to powiem wszystkim, że na moim słabym gruncie osiągnąłem 32 q owsa z jednego ha. A to dlatego, że jesienią zaorałem głęboko, na wiosnę przyszła podorywka i rozsiałem wapno nawozowe. Później zabronowałem i w czterech dniach zasiałem ziarno sposobem rzędowym. Po wejściu owsa puściłem na 5 cm brzoń posiewną i rozsiałem 50 kg saletrazku na hektar. — A jak przyszło lato, to przychodzili ludzie na moje pole i dziękowali, że ta sama ziemia i to samo słońce co u sąsiadów — ale zboże inne”.

Korespondencja Jessy jest wyrazem tej samej gospodarskiej troski o dobro, które służy narodowi. Jest nim 8 ha jego własnej ziemi. Soltys jabłonowski z radością stwierdził, że wstąpienie listu do redakcji, że obowiązek wobec państwa ludowego wykonał z nawiązką. Mąka z jego żyta zasiliała słotówki robotnicze, jego tuczniki powędrowały na socjalistyczny rynek handlowy.

„Wieś” drukowała z końcem minionego i początkiem bieżącego roku kilkadziesiąt listów, pisanych przez nagrodzonych chłopów, którzy, podobnie jak Jessa, wyróżniają się gospodarską praktyką, osiągniętą wysoką plonem. Tysiące pełnych dumy listów chłopskich z terenu walki o wyższą

(Dokończenie na str. 2-iej)

„Czujka wystawiona na pierwszej linii frontu“

(Dokończenie ze str. 1-iej)

wydajność z ha świadczą, że masy chłopie zaprawiają się w wykonywaniu władzy nad ziemią, coraz lepiej niejako — zarządzają ziemią. A za pośrednictwem gazety, kolektywne organizatorzy przodownictwa w produkcji, upowszechniają zdobyte doświadczenia i osiągnięcia. Wysoka kultura rolna oznacza nie co innego jak własne współudział w rządzeniu państwem, które stawia sobie za jeden z podstawowych celów bieżącego etapu zlikwidowanie sprzeczności pomiędzy szybkim rozwojem socjalistycznego przemysłu a zacofanym rolnictwem.

Tak więc dopiero krytyczne i pozytywne, mówiące o osiągnięciach korespondencje, razem wzięte, wyrażają główny sens toczących się co dnia i co godzina rozmów władzy ludowej z masami. Sama bowiem krytyka nie wystarczy. Józef Stalin mówił na XV Zjeździe WKP(b), że ani oddolne, ani też odgórne „trajkotanie” nie wypędzi biurokratyzmu, jeżeli masy „nie mają pewnego poziomu kultury dającego możliwość, stwarzającego chęć, umiejętność kontrolowania aparatu państwowego od dołu, własnymi siłami samych mas robotniczych”.

Troska o właściwe przechowywanie ziarna kwalifikowanego, nawozów i cementu w magazynie PZGS, walka o pełne wykorzystanie POM-owskich traktorów, czujne kontrolowanie trójek gromadzkich na wiosnę przed siewami, agitowanie za pełnym wykonaniem planu kontraktacji — słowem zasadnicze treści korespondencji terenowych świadczą o tym, że chłopcy pracujący osiągnęli stopień kultury, który umożliwia „nabywanie nawyków i umiejętności walki w sprawie rządzenia krajem”, świadczy o powolnym jeszcze ale już wyraźnym realizowaniu lenińskiego hasła rewolucji kulturalnej.

Uważny czytelnik naszej robotniczo-chłopskiej prasy terenowej dostrzeże na pewno organizującą rolę współczesnej gazety w stosunku do korespondentów. Rola ta nie polega tylko ani przede wszystkim na przygotowywaniu sobie terenowych współpracowników na przyszłych dziennikarzy-redaktorów. Korespondenci w świetle definicji stalinskowskiej to przede wszystkim „dowódcy proletariackiej opinii publicznej”. Tkwią mocno w terenie, odnotowywać nie w ogólnym, lecz konkretnym, gromadzącym, gminnym i powiatowym zakresie fakty „rzeczywistego budownictwa nowego życia” — oto ich zadanie.

Nie ma w Polsce gminy bez kilku, lub nawet kilkunastu korespondentów. Piszą oni do różnych pism masowych, często nie znając się nawet, podnoszą nierzadko te same tematy, wskutek czego korespondencje powtarzają się. Za jedno zagadnienie bierze się kilku na raz, inne pozostają przemilczone. Organizująca rola gazety i redakcji polega na tworzeniu kolektywów, gminnych Klubów Korespondentów.

Niedawno minęło pół roku pracy Klubu Korespondentów „Sztandar Ludu” w gminie Wyrkił, powiatu włodawskiego na Lubelszczyźnie. I jakież rezultaty? Każda instytucja w tej gminie — spółdzielnia produkcyjna, PGR, POM, SOM, GS, organizacja polityczna i społeczna, partia, straż pożarna, szkoła i poczta posiada swojego korespondenta. Praca ich biegnie w oparciu o plan ustalany na wspólnych zebraniach korespondentów. Nie trudno się domyśleć, że gmina należy do przodujących w powiecie. Kolektyw podejmuje zbiorowe zadania, zlustrował np. ostatnio gruntownie stan przygotowań do akcji siewnej. Czujne oczy wyrkowych korespondentów nie przepuściły ani jednemu uchyleniu w pracy, nie pominięły ani jednego osiągnięcia przodujących chłopów. Hilary Skiba skończył właśnie pracę, omawiając w związku z „Dniami Kultury” rozwój czytelnictwa w gminie, podkreślił rolę bohaterkich listonoszy w walce o przerwaniu prasy robotniczo-chłopskiej. Stefan Węgierski podsumował przebieg akcji siewnej w gminie. Łachnicki i Hosczyński omówili pomoc socjalistycznych instytucji w gminie udzieloną chłopom w czasie prac wiosennych...

W województwie poznańskim ruch korespondentów wzrosł o je jeszcze jedno cenne doświadczenie. Na terenowe zjazdy chłopów-przodowników dostarczyli korespondenci zredagowane przez siebie, pierwsze w Polsce powiatowe gazetki. Drukowano je w małych miasteczkach, nierzadko przy wyjątkowo niesprzyjających, prymitywnych warunkach. A jednak wszędzie, do Kalisza, Turka, Ostrowa, Kępna, dotarły we właściwym czasie.

Rola „Gazety Poznańskiej” wyraża się tu nie w przeniesieniu korespondentów na szczebel powiatowy, nie na swoisty oderwanie ich od terenu, lecz na zorganizowanie ich wysiłku, zebraniu na łamach powiatowych gazetki ich doświadczeń, by mogli je poznać współgospodarze powiatu — przodujący chłopcy i przenieść na gromady.

Jest to nowa, wyższa forma wiązania gazety i korespondenta z najaktywniejszą częścią chłopieckiego świata pracy. I te doświadczenia wskazują dalsze drogi ruchowi korespondentów.

Wiesław Jażdżyński

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

A W KRAJU CZEKAJĄ NA KSIĄŻKI...

Nasze zadanie polega na tym, aby jak najszerzej masy pracujące w Polsce stały się świadomymi współtwórcami nowego życia, życia którego hasłem jest dziś upowszechnienie kultury, dźwignięcie jej na wyższy poziom, udostępnienie jej wszystkim ludziom pracy...

(Bolesław Bierut)

KARTKA mówi pozornie tylko o piórkowskich robotnikach. O ich nieprzypadkowym a świadomym stosunku do spraw kultury swego terenu. Niewprawnie robotnicze ręce wypisują na niej krótkie, proste słowa: „Dla uczczenia Święta Pierwszomajowego — zobowiązujemy się w związku z Miesiącem Oświaty, Książki i Prasy, rozprawić na terenie Zakładów Szkolnych „Feniks” 200 egzemplarzy książek, wzywając do podjęcia podobnego zobowiązania załogę Piórkowskiej Fabryki Szkielek”. Na innej kartce papieru — identyczne w treści oświadczenie aktywu robotniczego piórkowskiej huty szkła „Hortensja” z wyzwaniem rzuconym pod adresem Zakładów Drzewnych i z zobowiązaniem rozprawić 500 egz. książek na terenie huty. Wreszcie trzecia kartka mówi, że robotnicy Fabryki Szkielek podejmują rzucone im wyzwanie, rozprawić 300 i rzucają hasło współzawodnictwa w upowszechnianiu czytelnictwa na cały Piórków.

Rzecz w tym, że kartki owe mówią o inicjatywie piórkowskich robotników — mówią równocześnie o dokonanej się u nas rewolucji kulturalnej, o narastaniu inicjatyw, wskazań i żądań szerokości mas ludowych pod adresem naszych wydawców i redaktorów, literatów i „naczelników od kultury”, pod adresem instytucji powołanej do organizowania kolportażu i planowania polityki rozwoju czytelnictwa — jakoś to i ilościowo — jaką jest u nas „Ruch”. Niewielkie, nie zawsze najlepsze kartki papieru, zawierające tego rodzaju treści — mówią o INICJATYWIE KULTURALNEJ MAS.

Ten sam wydział odnajdziemy bez trudu w deklaracji łódzkiej młodzieży ZMP-owskiej. „Rozprawimy się w Miesiącu Oświaty, Książki i Prasy 200.000 nakładów taniej a dobrej książki. Pójdziemy z książką pod dachy robotniczych izb, wyjdziemy z nią na ulicę i place. W ten sposób, w ten właśnie a nie inny — uczymy 60-letnie Prezydenta i Święto Majowe... Rozniosła się wieść od Kola do Kola, że inicjatywie dziewcząt i chłopców, luźno rzuconej

myśli naprzeciw wyszedł Zarząd Łódzkiej ZMP, podchwycił myśl, nadał jej realne kształty, koordynując ją z potrzebami i możliwościami...

„Pewnego dnia zatrzymałem się przed kioskiem „Ruchu” na Widzewie. Dla łodzianina słowo „Widzew” jest symbolem — jak słowo „Baluty”, jak słowo „Chojny”. Widzew to dzielnicą zamieszkałą przeważnie przez robotników. Za szybkami czernili się tytuły Biblioteki Wydawnictw Prasowych, popularnego wydawnictwa książkowego, znanego dziś już w każdym zakątku kraju. Krótka rozmowa z kioskierem i przejrzenie kilku tytułów było bardzo pouczające: w poszczególnych tytułach wydawnictw kilkutomowych — brakowało tomów. Był pierwszy — nie było drugiego. Był drugi — nie było pierwszego... Czy można zatem mieć pretensje do „Ruchu”? Przecież nakład został doprowadzony do kiosku w porządku, kompletnie... Węć o co chodzi?

O to, że najlepszy oddział „Ruchu” nie wykona należycie swych zadań a wręcz przeciwnie — „nawali” gwałtownie i całkowicie, jeśli chodzi o bardzo krótko zaniedbała terenową pracę operatywną, jeśli nie dopilnuje roboty upolityczniającej, uswiadamiącej wśród ludzi swego aparatu kolporterskiego, jeśli nie będzie stale i systematycznie prowadził polityki wzmacniania swego z natury rzeczy szczupłego aparatu operatywnego — kadrami kolporterów zawodowych, a zwłaszcza kolporterów społecznych. Analiza pracy łódzkiego Oddziału PPK RUCH za miesiąc ubiegły wskazuje, że obok planów i jakościowych planów — istnieją planówki nie docierające nawet 50% planu. I co się okazuje? Zawsze, bez wyjątku są to planówki, które od dłuższego czasu z niedbalstwą albo niedopatrzenia nie prowadzą pracy z kolporterami, nie mobilizują ich, nie szkolą. Nikt też nie przeszkolił kioskierza z Widzewa, który sprzedaje książki jak lody — porcja po porcji za jedynie 2.40, nieważne jaki tom, nieważne jaki tytuł... I na tym też można mieć jakieś inne zastrzeżenia do „Ruchu”, boć jego to robota... Z tym, że oczywiście najważniejszą będzie sprawa stanu jakościowego i ilościowego kadry kolporterskiej w zakładach pracy. O wiele ważniejszą od sprawy kadry komisowej (kioskierzy). Ale opomniemy wokół i odpowiadamy sobie na płaszczyźnie własnych spostrzeżeń i doświadczeń. Czy naprzeciw oddolnej inicjatywy kulturalnej mas, czy naprzeciw oddolnemu wzrostowi czytelnictwa, choćby w największych zakładach pracy — nie mówimy o kioskach — zawsze wychodzi naprzeciw odpowiedni kolporter, odpowiadający...

wiedni instruktor? Czy PPK „Ruch” albo „Dom Książki” — nadążają za młodzieżą ZMP-owską, za piórkowskimi robotnikami z „Feniksa” lub Hortensji”, za tysiącami, dziesiątkami tysięcy podobnych? Nie. Nie zawsze. Bo na to trzeba docierać do czytelnika, badać jego potrzeby, badać jego zainteresowania, badać zachodzące wokół zmiany strukturalne, systematycznie badać powody wszelkich, choćby najbardziej terenowych zmian na lepsze i zmian na gorsze w rozwoju czytelnictwa, a potem wyciągać wnioski i kształtować dalszą politykę kolportażu.

Na jednej z odpraw w łódzkiej Oddziale „Ruchu” przeprowadzono analizę przyczyn, dla których w miesiącach letnich następuje spadek w prenumeracie prasy i książek. Z analizy tego raportu dowiedzieliśmy się na tej odprawie, że „w miesiącach letnich dają się zauważyć wahania w nakładach i niedociągnięcia w pracy”. Zgodnie z tym, że „przyczyną tego były wahania i niedociągnięcia w pracy rozdzielni”. Czy to jest analiza? Z tegoż sprawozdania moglibyśmy dowiedzieć się dalej, że w okresie letnim „następuje spadek prenumerat na wsiami”. Dlaczego? Z powodu „prac na roli”. „Sztandar Młodych” zaś spada w tym samym okresie z powodu... wakacji. A więc — spadek następuje bądź to na skutek zwiększenia się pracy lub też na skutek... zmniejszenia się poczucia obowiązku ze strony pracowników „Ruchu”. Czy to analiza? Raczej stwierdzenie faktu, który właśnie dopiero trzeba „rozgrzyźć”. Trzeba by porównać z tymi ludźmi na roli i z młodzieżą, wyjeżdżającą na wakacje. Wtedy by się doszło do właściwych powodów spadku i można by snuć właściwe wnioski. Dopóki tego nie ma — nie się nie buduje stwierdzeniem, że „wahania spowodowane są wahaniami, niedociągnięciami — niedociągnięciami” ani wnioskami, że należy temu przeciwdziałać nie dając konkretnej pomocy zawodowemu i społecznemu aparatowi kolporterskiemu.

Trzeba pamiętać, że polityka kolportażu, praktyczne dotarcie z właściwym tytułem do czytelnika — nie jest czymś co da się raz na zawsze wykonać i ustalić. Trzeba pamiętać, że jeśli jeszcze wczoraj na terenie powiatu piórkowskiego najbardziej poczytnym pismem była „Gromada” a dziś notuje się spadek jej poczytności — to nie wystarczy stwierdzić, że jest to wahania i niedociągnięcia, któremu trzeba przeciwdziałać, a wyraźnie: na skutek przemian w strukturze zawodowej lud-

ności związanych z inwestycjami Planu Sześcioletniego nastąpiło na tym terenie przegrupowanie, mające szalony wpływ na kształtowanie się czytelnictwa. Około jedna ludność wiejska, budująca dziś wielki kombinat piórkowski, zatracła specyficzne w poprzednich warunkach zainteresowanie „Gromadą” a zaczyna przejawiać zainteresowanie wydawnictwami traktującymi np. o budownictwie i technice. Jeśli się taki fakt spostrzeże a w konsekwencji natychmiast pomyśli o tym, by nasycić teren tytułami wg. jego nowych potrzeb — to czytelnictwo będzie nie tylko utrzymywało się na poziomie, ale będzie permanentnie wzrosło. Jeśli zaś takiej analizy nie przeprowadzi się — w efekcie „Gromada” czy wydawnictwo podobne spadnie a wobec niedociągnięcia innych tytułów — czytelnictwo zacznie się kurczyć. Zupełnie tak samo, jak gdyby „Dom Książki” podczas kiermaszowych Dni Książki wystawił w Operze Warszawskiej stoiska z wydawnictwami traktującymi o agrobiologii radzieckiej, a stoiska w składowej SGGW obsesal wyłącznie „Moim życiem w sztuce” Stanisławskiego...

Oddział Łódzki PPK „Ruch” przed rokiem był jednym z najlepszych Oddziałów tego przedsiębiorstwa na terenie całego kraju. Dziś zajmuje miejsce ostatnie, podczas gdy na pierwsze miejsce wyszedł Białostok. Generalna Dyrekcja Przedsiębiorstwa bardzo ostro oceniła ten stan rzeczy. W wewnętrzny biuletynie możemy przeczytać uwagę o „systematycznym niewykonaniu planu nakładów”, o „złym stylu i metodach pracy” itd. itd. jak również zdanie: „jak długo, towarzysze z Łodzi, chcecie utrzymać to „zaszczytne miejsce”. Zupełnie słusznie, że się fakt tak znamienity komentuje głośno i otwarcie, nazywając rzeczy po imieniu, dopinając kolektyw do walki o zmianę na lepsze. Ale czy z jednej strony nie powinna Generalna Dyrekcja, w taki lub inny sposób, wyraźnie nakreślić jakichś trzeba metod pracy — jakiego stylu i na czym zło obecne polega? I czy nie zasługiwały na specjalne badania problem ustalenia dlaczego konkretnie, bez żadnych przenosiń i ogólników właśnie Białostok ma w tej chwili 1 miejsce, a Łódź ostatnie? Czy nie ma tu przypadkiem wpływu fakt niewątpliwie poważniejszy zmian w strukturze ludnościowej województwa łódzkiego, niż w woj. białostockim? Może tak jest, a może nie — lecz właśnie dlatego i tu trzeba by — naszym zdaniem — analizy. Czy łódzki Oddział „Ruch” wraz z Poczta nie powinien z kolei ze swej strony konkretnie, w terenie, w oparciu o wypowiedzi żywych ludzi, zbadać dlaczego...

Sergiusz Jaśkiewicz

JAN SZCZEPAŃSKI

Etnograficzne badania nowych form kultury w Związku Radzieckim

Przebudowa materialnych podstaw bytu społeczeństwa radzieckiego z kolei stała się podstawą rewolucji w dziedzinie kultury duchowej. Nowe formy ustroju gospodarczego i społecznego umożliwiły powstanie i rozwój nowych form życia kulturalnego. Proces narastania tej nowej kultury w Związku Radzieckim jest szczególnie wyraźny i występuje szczególnie ostro na przykładzie tych narodów i ludów azjatyckich, które wskutek Rewolucji Październikowej dokonały wielkiego skoku historycznego przechodząc od feudalno-rodowych form społecznych do budowy społeczeństwa socjalistycznego. Lecz proces ten zarysowuje się również i na przykładzie wsi rosyjskiej, która po kolektywizacji wstąpiła w nowy etap rozwoju, zdobywając dobrobyt materialny i wznosząc się na wyższy poziom kulturalny, oraz na przykładzie rosyjskiej klasy robotniczej.

Instytut Etnograficzny Akademii Nauk ZSRR zorganizował szerokie badania mające na celu opisanie tego procesu powstawania nowej kultury w nowych warunkach życia materialnego i społecznego, przedstawienie prawidłowości jego rozwoju i wykrycie czynników i sił kierujących tym rozwojem. Stąd w latach powojennych zorganizowano liczne wyprawy terenowe, które przeprowadzały badania w kolchozach i wielkich centrach przemysłowych. Na sesji naukowej Instytutu w kwietniu 1950 r. poświęconej podsumowaniu wyników tych badań, przedstawiono zwięzłe metody i dotychczas osiągnięte rezultaty. Ekspedycje Instytutu prowadziły prace badawcze w latach przed 1950 r. w przeszło 70 kolchozach, położonych w różnych krajach Związku, obejmując kolchozy 27-miu różnych narodowości, począwszy od kolchozów rosyjskich, ukraińskich, do kolchozów środkowej Azji, dalekiej północy itd. Równocześnie prowadzono badania nad warunkami życia i kultury klasy robotniczej w Moskwie, Leningradzie, Ukrainie, Uralu i okęgach naftowych Baszkirii. „Głównym celem podjętych prac — pisał kierownik tych badań robotniczy N. N. Czeboksarow — było wydobycie nowych cech i właściwości życia i kultury rosyjskiej klasy robotniczej powstających w epoce radzieckiej na bazie budownictwa socjalizmu i zakładania podstaw społeczeństwa komunistycznego”.

Wyniki tych stale prowadzonych prac badawczych publikowane są w wydawnictwach Instytutu. W toku badań wypracowują się nowe metody i udoskonala się technika badań.

Jak już wspominałem we wstępie badania te posiadają bardzo szeroki zakres i prowadzone są intensywnie od szeregu lat. Dla przykładu rozpoznamy od przedstawienia opisu kolchozów kirgizskich dokonano

przez S. M. Abramzonę p. W kirgizskich kolchozach Tian-Szania i zamieszkanego w Etnografii Radzieckiej w r. 1949, w którym autor zestawia zasady organizacji, warunki życia, gospodarkę i osiągnięcia kolchozów kirgizskich ze stanem i poziomem ich życia i położeniem mas ludności tych regionów przed rewolucją i przed kolektywizacją. Opis rozpoczyna się od skróconego obrazu gospodarki rolnej i hodowlanej i związanej z tym organizacji pracy. Przebieg od koczowniczej do zespołowej gospodarki osiadłej i przejście od tradycyjnego ustroju rodowego do socjalistycznej organizacji pracy wymagało intensywnego pracy instytucji partyjnych i rządowych. Lecz gdy tylko praca organizacyjna została przeprowadzona i rozpoczęto nowy tryb pracy rolnej i hodowlanej, to wprowadzenie nowej techniki uprawy maszynowej i metod naukowych hodowli owiec, bydła, koni i wielbłądów, dało mocne podstawy nowej organizacji społecznej. Intensywna praca oświatowa i wzrastający dobrobyt stały się czynnikami spajającymi nowe formy życia zbiorowego.

Przed wszystkim zmienił się wygląd i typ mieszkań. Miejsce przenośnych jurt zajęły stałe osiedla trwałych zabudowań, ułożone w ulice, z ogrodami i parkami. W centrum rejonu powstało osiedle posiadające pomieszczenia instytucji rządowych i partyjnych, kino, świetlicę, drukarnię, dom dziecka, magazyn spółdzielni, szkołę średnią z internatem, szpital i ambulatorium. Przysiółki kolchozowe rozrzucone po stepach i dolinach górskich, posiadają domy z cegły lub ubitej gliny, pobielonej wewnątrz i zewnątrz. Jurtą służy tylko jako letnie mieszkanie dla pracowników obsługujących łatarem pastwiska.

Wysoko rozwinięta hodowla i znaczne obszary pól uprawnych zapewniają dobrobyt kolchozów kirgizskich. Np. kolchoz „Kizil-Kirgistan” skupiający 120 rodzin posiadał w r. 1948: 10.711 owiec i kóz, 583 koni, 433 sztuk bydła rogatego i 16 wielbłądów, nie licząc bydła posiadane w indywidualnych zagrodach kolchozników. Zmienili się również rasy pogłowia i miejsce miejscowych owiec zajęły obecnie rasy dające jakościowo wysoką wełnę. Uprawa pól objęła znaczne obszary. Przed rewolucją tylko 2,8 proc. obszaru uprawiano, w r. 1947 już trzy razy więcej, zapewniając wystarczającą ilość zboża potrzebną dla wyżywienia ludności. Decydujące znaczenie dla rozwoju rolnictwa posiada MTS rejonu Dżungalskiego, której traktory i kombajny wykonują ponad 50 proc. prac rolnych.

W ubraniu kolchozników spotykamy się dawne ubiory tradycyjne z wytworami przemysłu fabrycznego. Podobnie przedstawia się sprawa odżywiania. Zniknął niedostatek zarówno w

jednej jak i w drugiej dziedzinie. Wraz z podniesieniem dobrobytu podniósł się poziom życia kulturalnego. W kolchozach powstały świetlice, punkty świetlone. Decydujące znaczenie posiada jednak rozwój sieci szkół. Szkoła cieszy się opieką zarządu kolchozu i szacunkiem ludności. Opuszczanie zajęć szkolnych zdarza się bardzo rzadko. Likwidacja analfabetyzmu i wzrastająca znajomość języka rosyjskiego przyczyniły się do przełamania izolacji kulturalnej mieszkańców odległych zakątków. Kolchozy rejonu posiadają stałe, codzienne połączenie samochodowe i pocztowe ze stolicą republiki. Dom dziecka, kino i radio przyczyniają się do szybkiego wyrównywania poziomu kulturalnego i przezwycięzania zacofania. Z nauką w praktyce zetknięli się Kirgizi w opiece lekarskiej, w szpitalu, punktach zdrowia, opiece nad matką i dzieckiem. W uporczywej pracy przezwyciężono zabobony i ciemnotę w tym zakresie. W każdym oddziale kolchozowym istnieją żłobki. Zorganizowanie w r. 1948 turnieju szachowego, w którym wzięło udział 30 uczestników ma również swoją wymowę.

Zmiany społeczne sięgnęły głęboko w życie rodziny, wyzwalając kobiety z niewoli tradycji, ustroju patriarchalnego i religii muzułmańskiej. Kobiety stały się ważną siłą w życiu kolchozów. W czasie wojny utrzymały produkcję kolchozu, a po wojnie biorą czynny udział w kierowaniu jego sprawami. Wyraźnie młode pokolenie kirgizów, kończące szkołę siedmioletnią, garnące się do nauki i opanowania techniki.

Przytoczony w zarysie opis stara się dać monograficzny obraz wszystkich dziedzin życia kolchozu, nie wydobycia i nie opracowywanie specjalnie jakiegoś zagadnienia. Chociaż większość prac etnografów radzieckich badających życie kolchozów stara się w ten sposób przedstawiać wyniki swoich prac, to jednak spotykamy i prace innego rodzaju.

Badania obejmują także kolchozy rosyjskie. Jako przykład przejrzymy opis kolchozu podmokłowskiego przedstawiony w pracy G. S. Masłowej: *Kultura i byt podmokłowskiego kolchozu* (kolchoz imienia Stalina rejonu Luchowickiego, obwodu moskiewskiego) (Etnografia Radziecka, 1951, zesz. 1). Kolchoz obejmuje 360 rodzin i liczy 1156 członków. Gospodarka kolchozu nastawiona jest przede wszystkim na produkcję mleka. Liczba krów dojnych przekracza 300, ilość ogólna bydła rogatego ponad 400. Przeciętny udój roczny wynosi 500 kg rocznie od krowy. Kolchoz położony nad rzeką Oka rozporządza łąkami i pastwiskami. Ponadto w kolchozie rosną również siłki i inne gatunki produkcyjne. Zniknął niedostatek zarówno w

wyrolne stoją na wysokim poziomie. Własna elektrownia dostarcza prądu (m. i. dla elektrycznych doarek), poza tym istnieje własna młeczarnia, młyn, warsztat mechaniczny. Prąd elektryczny obsługuje 16 zakładów produkcyjnych.

Praca produkcyjna wyznacza organizację kolchozu. Istnieją trzy brigady hodowlane i pięć rolnych. Każda brigada rolna uprawia 60 ha pola pod orkę i 130 ha pod paszę. Brigady liczą 50 do 60 ludzi. Co wieczór na odprawie brigadierów przewodniczący kolchozu ustala plan pracy na dzień następny. Brigady odbywają systematycznie swoje narady produkcyjne. W kolchozie rozwinięto szeroko współzawodniczość pracy, zwłaszcza wśród doarek, które walczą o uzyskanie 6000 kg mleka rocznie od każdej krowy. Przykładem doarek Dozenczenowa, bohaterki socjalistycznej pracy, która w r. 1950 zobowiązała się osiągnąć udój 7000 kg rocznie od krowy. Przeprowadza ona doświadczenia w karmieniu krów i współpracuje z Instytutem Pasz. Do przodujących kadry należą również pastuch kolchozu Fiedulow (Ist. Sow. Etn. 1950, zesz. 1, str. 46) odznaczony orderem Bohatera socjalistycznej pracy, który położył wielkie zasługi przy rozwoju hodowli. Pracą i organizacją kolchozu kieruje organizacja partyjna i komсомolska.

Przekształcenia w procesie produkcji poczyniły się w czasie zmiany warunków życia przede wszystkim w mieszkaniach, ubraniu i odżywianiu. Osiedle kolchozu posiada wybrukowane ulice, wodociąg, elektryczne oświetlenie, na placu znajduje się głośnik. Domy kolchozników budują się obecnie ze szlakobetonu, dachy pokrywa się łupkiem. Przeważają jeszcze domy drewniane, zachowujące stary styl rosyjski, bogato zdobione rzeźbami, jednakże w urządzeniu wnętrza nowoczesne. Elektryczność i radio znajdują się w każdym domu. Często spotyka się własne biblioteki. Znaczące zmiany i postęp obserwujemy także w zakresie żywienia. Wynagrodzenie za pracę dostawiane częściowo w naturze, dostatecznie zabezpiecza wyżywienie rodziny. Np. rodzina Jurjewych, która w składzie 4 osób przepracowała w r. 1949, 1750 dniówek, otrzymała 15 ton produktów, a w tym 1,5 tony ziarna. Ponadto rodziny ludują na działkach przyzgodowych jarzyny i ziemniaki, które jednak w znacznej mierze sprzedają. Każda rodzina prócz mleka od własnej krowy otrzymuje wynagrodzenie w produktach mlecznych. Mięso zjawia się w postaci ciecierzyny, baraniny i wieprzowiny. Oka dostarcza ryb. Ulubionym napojem jest herbata. Odzież członków kolchozu nie różni się od odzieży mieszkańców Moskwy.

Srednia liczebność rodzin w kolchozie wynosi 3 — 4 ludzi. Zdarzają się

go czytelnictwo w kolchoziskim (wg. danych z ub. roku) rozwija się ponadplanowo a w identycznym na pozór strukturalnie łowickim „leży”? Czy wolno nad tymi rzeczami przechodzić do porządku dziennego? Naszym zdaniem rzeczy te trzeba badać bardzo dobitnie. Postawmy kwestię: Dlaczego Piórków rozpoczął samorządnie akcję z racji Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy — a nie uczynił tego np. Sieradz? Dlaczego w Moszczenickich ZPB w tymże Piórkowskim, co 32 pracowników zaledwie prenumeruje „Głos Robotniczy” a w sąsiednich zakładach co 2, przy czym ani w jednym ani w drugim przypadku, zgodnie z polityką władz i partii nie ma żadnego administracyjnego nacisku? Dlaczego na sąsiadujących z sobą terenach — w jednym miejscu notuje się ok. 200% wykonania planu w kolportażu tanijskiej książki BWP a w drugim — 30%? Pewnie, że przyczyn jest wiele. Tkwią nie tylko w klasowej i zawodowej strukturze powiatów, decyduje tu nie tylko większa lub mniejsza aktywność organizacji masowych (też zawsze do wyjaśnienia — dlaczego większa, lub dlaczego mniejsza...), nie tylko skład personalny kadr kolporterskich... Może być wiele, wiele nieprzewidywanych często zupełnie przyczyn. Dlatego badać, badać — jest najważniejszą rzeczą. I to, żeby wyniki takich badań nie zostawały w protokołach idących ad acta!

Rozwój kultury i oświaty łączy się ściśle i zależy w pełni od rozwoju sił wytwórczych, które z kolei rozwijają i zmieniają zainteresowania czytelnictwa. Rewolucja kulturalna jest konsekwencją i jedną z charakterystycznych cech rewolucji polityczno - ekonomicznej, jaką się u nas dokonuje. Aktywny udział mas określa jej charakter. Inicjatywa kulturalna mas nakłada zwiększające się z każdym dniem obowiązki na „Ruch” i na „Dom Książki” tak samo jak na teatr, film, inteligencję twórczą. Inicjatywa mas ma przede wszystkim naprzeciw. Trzeba wyciągnąć, trzeba pokonać, trzeba podbudować, pokierować — należyce wywyższać postępujący w Polsce wzrost kulturalny jednostki i kolektywu, trzeba się z inicjatywą kulturalną mas spotkać... Powiedział Lenin, że prasa jest dla kraju budującą socjalizm, tym czynem ruszającym dla nowobudującego się domu. Powiedział Stalin, że prasa winna wzrastać nie codzień a z godziny na godzinę, gdyż jest najostrejszym orężem partii. Powiedział Prezydent Bierut: że kultura przetrwała być zdobyczą tylko pewnych warstw społecznych i że my, ludzie nowej Polski, stawiamy sobie ambitne zadanie „aby najwyższe zdobycze kultury przenieść do mas”.

Sergiusz Jaśkiewicz

rodziny liczące do 12 członków, lecz są one wyjątkami. Bazą materialną rodziny są zarobki członków. Często spotyka się rodziny, w których rodzice pracują fizycznie a dzieci są pracownikami umysłowymi kolchozu. Położenie kobiet i ich rola w życiu zbiorowości niezmieniła się od roli mężczyzn. Wychowanie dzieci ułatwiają żłobki i przedszkola, posiadające własne domy. Kolchozy rejonu zbudowały dom dla sierot po poległych w ostatniej wojnie. Kolchoz posiada kasę wzajemnej pomocy i każda rodzina doknięta wypadkiem losowym może liczyć na jej pomoc.

Zasadnicze zmiany zaszły w życiu kulturalnym wsi kolchozowej. Zlikwidowano analfabetyzm i wprowadzono obowiązkowe nauczanie w szkole siedmioklasowej. Przy szkole istnieje biblioteka licząca 5000 książek. Centrum kulturalnego życia stanowi świetlica, posiadająca salę mogącą pomieścić 450 ludzi, dalej salę zajęć dla różnych zespołów, pokój agitatorów itp. Tu odbywają się zebrania, przedstawienia teatralne, występy baletu i in. Z wiejskiej biblioteki liczącej 4000 dzieł, korzysta 550 czytelników. Biblioteka posiada wszystkie wybitne dzieła literatury rosyjskiej i narodów radzieckich. Gazety spotyka się we wszystkich rodzinach. W r. 1950 kolchoz prenumerował 469 egz. gazet codziennych. Wielu członków kolchozu należy do korespondentów gazet. Klub sportowy liczy 62 członków. Wolny czas poświęca się szachom, kobiety zajmują się wyszywaniem, mężczyźni skupiają się koło herbaciarni kolchozu, która stała się drugim klubem. Obchody 1-majowe, rocznice Rewolucji skupiają całą wieś w jednej manifestacji, lecz prócz tego kolchoz i brigady mają swoje własne uroczystości, takie jak ogólne zebranie sprawozdawcze, zamknięcie roku obrachunkowego itp. Ważną rolę w życiu społecznym gra pieśń; obok starych pieśni ludowych zjawiają się nowe pieśni o nowym życiu i nowych osiągnięciach.

Przedstawiliśmy dwie prace z kilkudziesięciu dotychczas opublikowanych. Jak widzimy badania terenowe etnografów radzieckich odznaczają się wielkim rozmachem, obejmują szerokie dziedziny życia i wytyczają sobie wielkie cele. Pracom badawczym towarzyszy uporczywa walka o udoskonalenie metod badawczych, o dokładniejsze rejestrowanie zjawisk, o wszechstronniejszy obraz badanych procesów, o uogólnienie teoretyczne zbieranych faktów. Badania te są dla nas przykładem, aby pilnie obserwować i badać dokonywaną u nas przebudowę społeczeństwa, aby te przebudowę prowadzić z pełną samowiedzą.

Jan Szczepański

STANISŁAW PIĘTAK

WBRZEZINACH

(Fragment opowiadania o świetlicy gromadzkiej*)

STARY Sedkowski już drugie szkiełko zakładał, lampa filowała, świeciła wciąż nienajlepiej. Izba zapelniła się ludźmi, cienie chybotały po ścianach.

Przybył oto prezes gromadzkiego ZSCh, Feliks Goliś, mężczyzna krepy, z rzednącymi już, jasnymi włosami, chłop, który z niedługo pieca chleb jadł, zanim osiedlił się w Brzezinach. Zarząd ZSCh był zresztą w kompiecie, przy stole siedział przecież młody soltys, sprawujący funkcję sekretarza, a niedaleko progu, podpierając drzwi, stał łysy skarbnik, Łysio Władysław, mężczyzna jak najdalszy od wszelkiej gorączki, poważny, prawie flegmatyczny.

Pojawiła się również młodzież zetem-powska, izba ożywiła się, śmiech zleniacka zabrzmiał wesoły, zaczepny. Na łóżku usiadła ładna, siwoka Zosia

zaczęła mówić wesoło — interesuje mnie przecież więcej strona społeczna waszej pracy, w jakich warunkach ożyła świetlica, jakie są wasze plany na przyszłość.

— To zasługa Łukasika, że sztuka tak pięknie się udala — ktoś krzyknął.

— Po kolei, po kolei, przyjdzie i na Łukasika czas — mówicie o poczynkach świetlicy.

Goliś w tej chwili podniósł się i machając czapką zaczął mówić: — Zaczęło się od tego, że Gminna Rada Narodowa podarowała nam barak ponieważ w r. 1949. Ano przywieźliśmy go z Dobrzeli i zastawiliśmy na placu, który oddał na ten cel gromadzie Wąsowski Zygmunt.

— Jak to oddał? Wytlumaczcie.

— Sprawa jest jasna, najwzajemniej w świecie dał — wturcił się soltys.

brania gromadzkie, zabawy zetem-powskie, raz nawet odegrano w nim sztukę partyzancką, którą pan Łukasik robił z młodzieżą, ale na dobrą sprawę to się nikt nim rzetelnie nie opiekował. Nie uszczelniony dach przeciekał i buty, szyb w oknach nie było, gdyby tak działo się kilka lat, budynek uległby zniszczeniu.

— A coż robił ZSCh?

— Spał — zawołał ktoś z tyłu.

— No, winien był i powiatowy Zarząd — stwierdził soltys.

— Przyjechał tu kiedyś instruktor, obejrzał wszystko dokładnie, cuda naboicywał, że pieniądze na remont się znajdą — nie z tego jednak nie wyszło.

— A ja mówię, że to prezes Mirowski winien! — krzyzał ten sam głos.

— A, przecie tych pieniędzy jeszcze nie oddał, co je kiedyś wziął ze składek.

— E, Franek, co ty, przecie on je spłaca...

Do stołu zbliżył się naraz poważny, stary Sedkowski i chwile stał w zadumie.

— W samej rzeczy, proszę pana, — rzekł do mnie — robota w świetlicy dopiero ruszyła po nowych wyborach, kiedy pan Goliś został prezesem. Wądecki pomógł, młodzież się zapaliła — i na plan nie trzeba czekać.

— Wądecki? Kto to? Nie wspominał się o nim!

— Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej, chłop z naszej wsi, nasz człowiek.

— Wybory odbyły się w listopadzie ubiegłym, ciągnął Goliś nie bez zniecierpliwienia, że mu przerywają.

— Postanowiliśmy radykalnie przystąpić do naprawy stanu, jaki był. Świećlica prosiła się o remont co żywo. Na pomoc władz powiatowych ZSCh nie mogliśmy na razie liczyć, postanowiliśmy zakrzęknąć się sami w gromadzie, by zły jakoś zaradzić. Ogłosiliśmy zbiórkę gromadzką na ten cel.

— Razem zbiórka dała 730 złotych — podał radosnym głosem wiadomość soltys.

— Nie inaczej — powiedział Goliś.

Co miało kilkadziesiąt złotych ZMP dało nam, do tego od władz ZSCh dostaliśmy 1200 złotych, na sztuce zarobiliśmy też spory grosz i oto przystąpiliśmy do roboty. Materiał na cały remont już mamy, jest smoła, papa, szkło okienne, stół, lepiak, są gwoździe i inne drobniejsze rzeczy. Oczywiście wszystkiego teraz zrobić przy świetlicy nie mogliśmy, bo zima, przebudowę pełną przeprowadzimy zaraz, gdy tylko nastąpi ciepła. Na razie działaliśmy my to, co najprościej. Oszkilił mi świetlicę, zbudowaliśmy scenę, kupiliśmy ławki, zabezpieczyliśmy dach, już nie będzie gnął na słońcu.

— Rzec jest więc skończona, czekacie wosny.

— Jest jedno „ale“ — zawołał Goliś i podszedł ku mnie do stołu. Dopiero teraz zauważyłem, że jego oczy są przekrwione od niespania, czy choroby.

— Deski na podłogę są nam potrzebne, a nie możemy ich dostać. Byliśmy w Gminnej Radzie, odesłali nas do powiatu. Słęczeliśmy tam i nic nie

zalałiliśmy. Powiedzieli nam, że deski są przeznaczone dla gospodarstw, a nie dla świetlic. Radzicie, co zrobić, my musimy je mieć.

— Ba, gdyby wiedział.

Moje zdanie ich nie uspokoiło, przeciwnie rozszalało. Zaczęli się jeden po drugim skarżyć że instytucje nie odpowiadają im na listy — i na wiele innych rzeczy, które ich zdaniem są takie proste.

— Na przykład z tą radiofonizacją — szepnął Goliś.

— Co to za sprawa?

Napisał mi o radiofonizowaniu świetlicy, dostaliśmy odpowiedź, że przeprowadza się to według ułożonego planu, że nasza próba będzie wzięta pod uwagę w następnych latach.

— Tak się musi dziać moi drodzy.

— Ale nasza praca będzie przez to kuleć. Nie robimy tego, co moglibyśmy!

— krzyknął Goliś.

— Faktycznie, gdyby tak wieś była zelektryfikowana, radiofonizowana, inne byłyby możliwości — powiedział mi Łukasik i też zbliżył się do stołu.

— Dlaczego przedtem nie wnosiliście podań, nie staraliście się?

— Bezdarnie rozłożyli ręce.

— Hej! — westchnął ktoś.

— Gadali, że nie potrzeba, że koszty — inny dodał już całkiem cicho.

II

— Więc jak te „Grube ryby“? Nie przesadzacie z tym waszym sukcesem? — odezwał się po chwili milczenia.

Młoda Zosia Sedkowska oburzyła się, zbladła.

— Jakże to przesadzamy! Graliśmy u nas, przyszło około 400 ze wsi i okolicy, ludzie się nie pomieszcili — graliśmy dla robotników w Dobrzeli, też sala trzęsła się od śmiechu. Nie dosyć na tym, wystawialiśmy jeszcze sztukę w Oporowie, no i wreszcie w Kutnie przed Sądem Konkursowym.

— Dobra to robota, a panu powiem — wturcił się Łysio do rozmowy i zatarł ręce. — Byli nasi w Dobrzeli, w zamian przyjechali do nas robotnicy ze swoim przedstawieniem „Wodewil warszawski“. Też fajna rzecz. Teraz taka wymiana będzie coraz częstsza. Powesela się oni u nas, nauczymy się my od nich czegoś.

— Słusznie — było tylko jeździć do siebie wzajemnie z czymś bardziej serio — chciałem rzec, lecz ugryzłem się w język, aby nie psuć na razie moim rozmówcom dobrego nastroju.

— Nie, nie nie mam przeciw sztuce — rzekłem — bardzo ją lubię, kiedyś się na niej sam świetnie bawiłem, widząc wielkiego aktora, Frenka w roli Wistowskiego, wydaje się mi jednak, że jakoś do zagadnień wsi dzisiejszej ona nie przystaje.

Zachmurzyli się chłopcy, pomarkotnieśli. Jedynie Zosia Sedkowska, rezolutna, inteligentna osobka nie dała za wygraną, poczęła zapalczywie bronić „Grubych ryb“.

— Bo jest wesoła, a wesołość potrzeba — mówiła. — Zresztą nie mieliśmy innej, mieliśmy „Świętoszkę“, ale on był za trudny. Ze



Foto CAF

my nie zamierzamy tylko figlować, to pan się może o tym dobrze przekonać, teraz planujemy wystawienie sztuki „Kąkol i pszenica“ — to rzecz, która traktuje o życiu nowej wsi, pan przecie wie...

— Właśnie, trzeba i coś aktualnego, żywo ludzi obchodzącego — szepnąłem.

— A pan gra w sztuce? — spytałem przechadzającego się po izbie z wypiekami na twarzy Goliśa.

— Gram — uśmiechnął się.

— Zna nie zabrania?

— Nie, Dlaczego?

— Pan zaś tylko reżyseruje? — zwróciłem się do Łukasika.

— Poza tym odwalam rolę dziadka — doparł czarny żwiny jak wieśniak Łukasik.

Chłopcy zaśmiali się. — Trzeba widzieć jak on to robi, jak oni to robią ze Sławkiem. Wskazali przewyżającego wszystkich o głowę, barchystego Sławomira Mirowskiego.

Rozmowa nabrała żywego, swobodniejszego charakteru. Dowiedziałem się teraz, że prócz sztuki grający odspiewali pieśń piora wszechstronnie uzdolnionego Łukasika i zaciekawilem się tym faktem mocno.

— No, to jest pieśń, która tłumaczy — zająknął się Łukasik — tłumaczy, dlaczego zagraliśmy tę sztukę, jej sens dla dzisiejszego człowieka.

— Bardzo byłbym ciekaw usłyszeć.

— W takim razie najlepiej pójdę do świetlicy, zaśpiewać — powiedział mocnym głosem soltys i podniósł się z krzesła.

Propozycja wszystkim przypadła do serca, w jednej chwili jak gęsi wybiegliśmy z izby na ulicę.

Noc była błękitna, mroźna, iskrząca się od gwiazd, mroź wcale nie żelaz.

Ktoś potknął się o kamień na drodze, w ciemności zabrzmiął jednocześnie swawoń, szczęśliwy śmiech którejś z dziewczyn.

Przydałoby się jednak światło: — Zarówki rozjaśniłyby światło od krańca do krańca. Milczkiem, coś mrucząc, przeszedł naraz koło nas wysoki chudy mężczyzna.

Soltys podkoczył teraz do mnie, w jego ruchach, w jego głosie zabrzmiały nutki dowcipne, ironiczne, o które go nie podejrzewałem.

— Przeszedł nasz wróg postępu —

żartował, nazwiska nie usłyszałem. — Zamyka się w stodole i młoci od rana do zmroku cepem. Na obiad nawet mu szkoda pójść. Traktora to boi się jak szatana.

Staliśmy już przed barakiem. Goliś otworzył drzwi, zapalał lampy i weszliśmy do środka. Już pierwszym rzutem oka stwierdziłem niezwykłą schludność świetlicy. Sala miała jakieś 14 metrów długości i osiem szerokości, na środku stał piekły żelazny, obok ławy, w głębi mieściła się scenka zgrabna, lilipucia.

— Malutka — westchnąłem — nią zawadzacie głową o wiancie?

— Właśnie z tym bieda — powiedział Goliś, musimy ją poszerzyć, desek, desek potrzeba. Robotnicy z Dobrzeli, gdy tu grali, też mieli z tymi wianami utrapienie. Jeden nablił sobie guza.

Łukasik już ustawił ludzi na scenie i co chwila jak kapelmistrz unosił rękę do góry.

— Którą scenę zagrać? — zwrócił się nagle do mnie.

— Może scenę oświadczyń.

Posypały się ze sceny cięte, wesołe, dowcipne słowa Bałuckiego, który wyśmiewał, sam się przy tym śmiejąc, galityjskich potentatów.

Trzeba było przyznać — Łukasik, Sławek Mirowski i młoda Zosia Sedkowska grali wybornie, gest ich był nie wymuszony, wyczuwali komizm zdań i sytuacji jakby byli aktorami z urodzenia.

Pogratulowałem im szczerze sukcesu.

— Nie dziwię się, że zwyciężyliście na festiwalu powiatowym, gracie jakbyście mieli kilka lat pracy za sobą w zespole.

Zeszkoczyła już ze sceny zarumieniona Zosia Sedkowska, zeszkoczył też pobladły trochę z przejęcia, z lekką spoconą Łukasik.

— Pan się świetnie zna na prowadzeniu dramatycznego zespołu — gdzie pan nabył tej wiedzy?

Łukasik zarumieniał się jak panienka.

— Ja chodziłem przed wojną do gimnazjum do Łodzi pięć lat, a potem to już zajmowałem się tą robotą.

— Bez wujka nie obejdą się żadne ludowe uroczystości — zawołała Zosia

(Dokończenie na str. 6-iej)

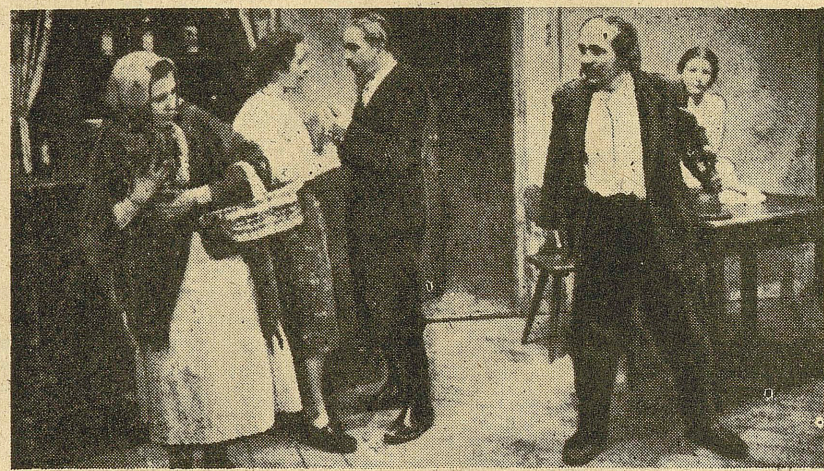


Foto Węglowski

Sedkowska, młodzieńca żona soltysa, a obok na ławie przycupnięli, szesnastoletnia o dziewczynie, zapuchniętej jakby od placu twarzy, Jadvina Łysiwna, rozrosły jak tur, z konopiatą czupryną Sławomir Mirowski i nieodłączny jego kolega Marian Zalewski.

Zabrakło z aktywistów świetlicy Frankiewicza Zygmunta, robotnika z gorzelnii w Słęczynie, przewodniczącego miejscowego koła ZMP, (nie było go tego dnia we wsi), zabrakło Wojcika Władka, Pszczółkowskiej Feliks i tych najmłodszych trzynastoletnich entuzjastów, Goliśa Romka i Mirowskiego Gienka — ano musieli przysiąść faldów, musieli odrobić na jutro lekcje, to było ważniejsze.

Czekaliśmy jeszcze na Łukasika Zygmunta, kierownika zespołu dramatycznego, ale oto i on nadszedł. Drobny z postawą, zadzierzasty wpadł pośpiesznie, jakby go goniono, do izby, z miejsca przestrzeń uniosła się żywszymi głosami.

— O tym, że odnieśliście sukces wystawieniem sztuki „Grube ryby“ Bałuckiego, że zwyciężyliście w festiwalu powiatowym ZSCh, to już wiem — po-

*) Opowiadanie napisane na zamówienie Lud. Spółdz. Wydawn.

Niedużo jest tej ziemi, kilkanaście arów, ale przy drodze w dobrym miejscu. Wąsowski to chłop mądry, rozumie rzecz, my młodzi tylko natrąciliśmy mu o tym, zgodził się zaraz.

— Czynnym jest w świetlicy? — spytałem cicho. Chłop, który kiedyś zabijał sąsiada o kawalek miedzy, dziś darowuje ziemię gromadzie, fakt wydał mi się godny zapamiętania, godny największej uwagi.

— Jakby nie, to członek ZSCh, społecznik.

Rozmowa nasiąkała naraz wieloma dygresjami i dopiero po chwili powróciła do porzuczonego głównego tematu.

— We własnym zakresie zestawiliśmy mu barak — podjął znowu swe opowiadanie Goliś. — Dwóch tylko majstrów, murarz Kujawa Jerzy i cieśla Lebiada Józef pracowali za pieniądze. Coż, narobili się niemola, ale my nie mieliśmy im czym zapłacić, czekali do tego czasu.

— Zapomniałeś powiedzieć, że Kujawa ze swego zarobku darował teraz na świetlicę 60 złotych, a Lebiada był też niegorszy, ofiarował na ten sam cel jedną swoją dniówkę — odezwał się powoli i poważnie stojący ciągle przy drzwiach skarbnik Łysio.

— Właśnie, właśnie — potwierdził Goliś. — W baraku odbywały się ze-

KRYSTYNA PALYS

CHŁOPSCY RACJONALIZATORZY

CHŁOPSKI racjonalizator wykorzystuje nie tylko wiadomości usłyszane w świetlicy ZSCh, przez głośnik radiowy lub wycytane w prasie, ale prowadzi doświadczenia w uprawie i hodowli na własną rękę i nie z byle jakimi wynikami. W kilkunastu miastach powiatowych Lubelszczyzny przemawiali na wiosennych naradach mistrzowie urodzaju i z tego co mówili, można się było orientować, jakie zdolności, jaka cierpliwość, jaka pomysłowość, ile samodzielności składa się na osobowość racjonalizatora spod chłopskiej strzechy.

Na wiosennych naradach powiatowych zapoznaliśmy się z kilku takimi racjonalizatorami. Do niektórych nawet pojechałem. Korciło mnie, aby o nich napisać. „Wies“ jeszcze jesienią sygnalizowała przybór nowej kadry chłopskich działaczy, właśnie przodowników w produkcji rolnej, właśnie dobrych gospodarzy. Racjonalizatorzy stanowią jak gdyby dowódców tego frontu.

Kiedy jednak zaczęłam zbierać obserwacje i robić zapisy, spostrzegłam, że gromadzę materiał na konto założonego (a bliżej nie sprecyzowanego) pojęcia „racjonalizator chłopski“ i w ten sposób do niczego nie dojdę, choćbym nawet szczegółowo opisała 50-ciu mistrzów różnych urodzajów.

W czym tkwiła trudność? „Racjonalizator“ — to pojęcie przeniesione na wieś z przemysłu, z fabryk. Przeniesione — o czym nie wolno zapominać — z przemysłu socjalistycznego. Na czym więc polega różnica? Po pierwsze na tym, że racjonalizatorzy wyrastają i racjonalizatorstwo rozwija się w pracy uspołecznionej. Ten typ pracy daje największy bodziec do masowego nowatorstwa. Ten typ pracy pozwala z kolei na szybkie i pełne upowszechnienie każdej odkrytej racjonalizacji w produkcji przemysłowej.

Po drugie — produkcja przemysłowa rozwija się na zasadzie wyodrębniania specjalności a w nich poszczególnych części całego procesu produkcyjnego.

A na wsi indywidualnie gospodarujących chłopów? Nie ma pracy uspo-

lecznionej i nie ma wyodrębnionych specjalności.

Oto gwóźdź. W jakim więc stopniu „racjonalizator chłopski“ jest przenosi- nią, w jakim zaś słuszenie nosi ten tytuł?

*

Taki Szawajewski. Mieszka w Brzezinach, w gminie Piaski, nie tak daleko od Lublina. Czy nie nazwiecie go racjonalizatorem albo doświadczał- nikiem albo mistrzem urodzajów, kiedy Wam powiem, że na swoich 5 ha (z reformy rolnej) zebrał po przeliczeniu na hektar 600 kg buraka cukrowego, 42 kg jęczmienia i 30 kg żyta? Ze zobowiązał się złożyć ogródek miczurinowski i 16 poletek z różnego rodzaju trawami? Chce bowiem przekonać się, jakie gatunki traw najlepiej nadają się na miejscowe łąki.

Co Was w tym najkrótszym (z możliwych) sprawozdaniu umacnia w przekonaniu, że Szawajewski to... racjonalizator? Czy nie... ogródek miczurinowski i poletka wielu gatunków traw? W tych próbach niewątpliwie widać doświadczałnika. A porównajcie uprawę zbóż z uprawą traw, pierwsza jest powszechna, druga prawie nie praktykowana przez chłopów lub w wielkim zaniedbaniu. Dla sąsiadów Szawajewskiego w Brzezinach jego 16 poletek trawowych stanowi większe nowatorstwo, niż jego sukces w zbożowych, owe 30 kg żyta z hektara. Dlaczego? Właśnie dlatego, że w podnoszeniu wydajności zbóż każdy z nich bierze udział, a z tymi trawami już jest inaczej. To Szawajewski za nich i za inne gromady doświadcza. I chłopcy rozumieją, że wynik tych doświadczeń da dopiero ostatecznym gromadom naped do rozwinięcia bazy paszowej. I że po takim sprawdzeniu nie „ogonki“ powinno się uprawiać na każdej parceli, ale stworzyć co najmniej na dużej przestrzeni wspólny zespół uprawowy, a zatem i wspólną hodowlę itd., aż do pełnej spółdzielni produkcyjnej.

W zbożowych osiągnięcia Szawajewskiego stały się agitatorom w dwie strony, za spółdzielnię i przeciw niej. Szawajewski bowiem swoimi zbiorami dorównał spółdzielni produkcyjnej w pobliskim Milejowie. A sławna to spółdzielnia. Wróg w takich sytuacjach dowodzi, że indy-



Foto CAF

dualnie też można rozwinąć postęp w nieskończoność. Ale krótki jest bieg dywersji po tej linii. Jaki bowiem może być w niedługim wcale czasie wynik współzawodnictwa, które podjęło kilkunastu chłopów w Brzezinach? Rzucili oni wyzwanie naszemu racjonalizatorowi. W jesieni zmierzają swoje wyniki. W jesieni też, kiedy je szeroko przedyskutują, można się spodziewać powstania spółdzielni produkcyjnej w Brzezinach.

A przyjrzyjmy się Szawajewskiemu, plantatorowi buraka cukrowego. 600 kg z ha! Słuchalam go rozprawiającego z chłopami. Roztaczał przed nimi cały arsenał wiedzy agrotechnicznej samouka, wiedzy opartej na brystnej i wnikliwej obserwacji. Wyliczał kolejno jak stosuje orkę, włókę, kultywację brzozy, jak zasila sztucznie nawozami, łącząc logicznie wszystkie sposoby uprawy w jeden wielki zabieg dla utrzymania największych zapasów wilgoci w ziemi.

„Z czwartym listkiem na buraku wychodzę na pole z planetem, aby wzruszyć ziemię między rzędami“. Jak to wspaniała terminologia domorosłego agrotechnika, w którego kalendarzu męczy się czas objawami rozwoju pielęgnowanej rośliny. Albo — „żona moja przy plantacji bura-

ków nie ma wiele do roboty, do niej należy tylko przeorywka i gradowanie“. To znów swoista metoda sprawdzania wyników pracy — im lepiej pielęgnuje buraki Szawajewski, tym mniej ma do roboty jego żona.

Jak działa taka agitacja? Jeszcze dwustronnie. Jeszcze mobilizuje do podnoszenia uprawy „na swoim“. Jeszcze zakłada podniesienie się w kulturze rolnej wielu, aby dopiero ten szeroki trzon oświeconych i wciągniętych w radość wzmagania produkcji doszedł do logicznego wniosku — jaką perspektywę dla rozwoju i doskonalenia tej produkcji otwiera spółdzielnia produkcyjna.

Ta droga bieżąco wymaga aktywności chłopów na swoich parcelach. Wypelniają ją na niej dwa procesy. Jeden wyprowadza nasze rolnictwo, mimo że w głównej masie wciąż jeszcze indywidualne, z nadmiernego opóźnienia się w stosunku do tempa rozwoju przemysłu. Drugi — przez pierwszy i w otoczeniu spółdzielni produkcyjnych, POM-ów i PGR-ów pozwala chłopstwu doświadczyć do końca, co przy władzy ludowej i przy socjalistycznym przemysle i planie ogólnonarodowym można zdziałać i osiągnąć w indywidualnym gospodarstwie i jak naturalną i dlatego

nieodzowną staje się z kolei przebudowa ustroju rolnego.

A sam Szawajewski, ten pierwszy z pierwszych? Jaka on ma świadomość? Liczy sobie 60 lat. Ten wiek ma wymowę. Chłopi znają go dobrze. Przed wojną miał hektar i 20 arów. Nie mógł z tego żyć. Nie mógł plantować buraków, choć w pobliskim majątku hr. Scipio del Campo wynajmował się właśnie do przetrwania buraków. Nie miał obornika, nie miał nawozów, nie miał „na początek interesu“ najdrobniejszego wkładu pieniężnego ani nadziei na kredyty. Rzucał się i na stolarzkę i na kowalstwo przygodne.

W Polsce Ludowej z Reformy Rolnej otrzymał pełne 5 ha. Dobiegał wtedy 55 roku życia. Urządził się syto i spokojnie — to było gręzą naturalną i wystarczającą. A Szawajewski poszedł dalej. I postępuje z coraz większym rozmachem naprzód. To stanowi o jego agitacji, nie dającej żadnym kruczkom wroga odchylić jej kierunku.

Chłopi dobrze rozumieją, że nie chłirczo gospodarza kieruje wysiłkami Szawajewskiego. 60-letni chłop byłby dawniej na wsi seniorem, z którego ust płynęła mądrość starych. Więcej co prawda słyszało się od takich anegdot umoralniających i wspomnień z przeszłości, toteż w treści doradctwa zmienili i zburzyli tradycje Szawajewski, ale nie zmienili samej tradycji. Ma po staremu prawo gromada zwracać swoje oczy na seniora. Ma prawo oczekiwać od niego dojrzałej rady i wskazani. I Szawajewski jej nie zawodzi. Jego dojrzała mądrość uczy śmiałości, jaka cechuje młodych i jest tak świeża i nowa, jak nasze nowe czasy. Ten stary chłop pączkuje najpiękniejszą młodością: odkrywami w praktyce rolnej, które po raz pierwszy w życiu pozwoliły mu stanąć na progu nauki, tej która tworzy i sama z kolei uczy.

Pytam Szawajewskiego. — No i co dalej?

— Jestem jak po maturze. Czuję się na siłach na wyższą uczelnię, jak to mówią po waszemu. Ale musi się zmienić w gromadzie. Inaczej stanę. Buraki u mnie pierwsze, żyto i jęczmień też, teraz trawy przybyły. Wszystko razem — nie da rady. Trawy mnie ciągną, specjalność, waż-

na specjalność! Dla wszystkich nad nią chciałbym pracować i we wspólnocie. Ale gromada to nawet za mało dla traw. Ot, chociażby gmina. Żeby na niej zbadać i że trzy, cztery dobrane gatunki posiać, a potem pilnować, objeżdżać, sprawdzać i poprawiać.

*

Na przeciwległym krańcu powiatu lubelskiego gospodaruje racjonalizator, w innym zakresie, w hodowli. Leon Łęczny w Kolonii Żalucze siedzi na 3 hektarach, a sztuk inwentarza karmi 15 tuczników 10, 3 krowy i jałowkę holenderskiej rasy oraz jednego konia. Rachunek nieprawdopodobny, ale... prawdziwy.

Zaczynamy od początku.

Po wyzwoleniu — jak opowiada Łęczny — pojawili się wieśni instruktorzy rolni, opowiadali o słowach do gromadzenia kiszczek z paszy. Opowiadali wiele innych rzeczy, ale to mnie najbardziej ruszyło. Zapamiętałem wywód. Przed sadzeniem kartofli można zasieć żyto i skosić przed wykoszeniem, a potem zmagazynować w silosie. Zaryzykowałem budowę i wniosłem podanie do Rady Powiatowej o przyznaniu subwencji i przydziału cementu. Jedno i drugie otrzymałem. Wtedy postawiłem silos głębokości 3 m o średnicy 2,5. Duży. Łęczny na innej drodze niż Szawajewski doszedł do pozycji racjonalizatorstwa. Na czym polega różnica? Łęczny powiada, że „on zaryzykował“. To prawda, ale nie mniej ważną prawdą jest, że zaryzykował państwo, zaryzykowała rewolucja. Jakie gwarancje miała rewolucja inwestując Łęcznego? Pierwsza — mało rolny, druga — że „on zaryzykował“. Działo się to w pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy jeszcze toczyła się walka o umocnienie władzy ludowej, kiedy na wielu terenach klasa robotnicza realizowała z małorolnymi i częściowo średniorolnymi wojenno-polityczny sojusz, kiedy w walce z bandami, udzielającymi poparcia Mikołajczykowski, padły tysiące robotników i chłopów. A jednocześnie plug zarywał ziemię dawną i z nadziału. Wtedy to — też jednocześnie — Part

EDWARD SZUSTER

EKIPA ŁACZNOŚCI

W PLYTKIE pudło ciężarówką wstawiona była drewniana kabina: na żelaznej podłodze rozłożono matę ze słomy.

W ten sposób przystosowany samochód nadawał się do zimowych podróży; przed wiatrem i mrozem chronili pasażerów dyktanci ścian, słoma izolowała nogi od zleżającej chłodem blachy. I dziś zima nie mogła przeszkodzić do wnętrza skrzyni; jedynie suły szron obijający na obu szybach skrzęcał się w słoncu przypominając, że zima trwa jeszcze.

Na środku tego podróżnego pokoiku królowała wielka, żelazna boczka a pod ławkami leżało kilkadziesiąt odlewów w kształcie smukłych, ścietych strząków. Boczka tkwiła nieruchomo, odlewy podkakiwały i postukiwały o siebie od czasu do czasu pod wpływem wydatniejszych wstrząsów samochodu. W pewnej chwili kilka z nich wyśliznęło się z pod ławki, ale wielki but Kubisiaka zlikwidował w zarodku tę próbę rozluźnienia dyscypliny podróży.

Jak trzeba to i kilkanaście osób możemy tu zabrać — wyjaśniał Kubisiak zwracając się do radiowców. — Wtedy jeszcze cieplej. Cóż ekipa się mieści.

Już się tak nie chwalcie — zażartował delegat fabrycznego koła ZMP odwracając głowę od szybki, na którą chuchał by stopić pokrywający ją kożuch szronu.

A niby dlaczego? — Kubisiak usmiechnął się mrucząc oczy. — Urządzenie przecież dobre, nie? — poklepał dłonią ścianki kabiny i dodał po chwili. — Bez tego to by nawet mowy nie było o wyjazdach ekipy.

A dlaczego dziś jedziecie tylko we trójkę? — zapytał jeden z radiowców.

Specjalny dziś wyjazd — odparł zetempowiec. — To najważniejsze — kopnąć bęczkę, która odpowiedziała głuchym stuknięciem.

I to — dodał Kubisiak wskazując wzrokiem potaczające się pod ławkami odlewy.

Wyjazd był rzeczywiście „specjalny” o czym świadczyła zarówno niewielka liczba uczestników ekipy — trzech, jak i fakt, że wbrew normalnym obyczajom ekip wybrano się w podróż w sobotę rano. Stało się tak dlatego przede wszystkim, że już za tydzień POM w Rawie Mazowieckiej powinien zakończyć przygotowania do kampanii wiosennej. Tydzień to niewiele i choć od kilku już dni w Rawie przebywał Oziński, do którego można było mieć zaufanie, to jednak Kubisiak konieczne chciał sam zobaczyć jak jest stan prac w POM-ie. Ostatecznie nie Oziński przeleciał, ale on, Kubisiak, odpowiadając jako kierownik ekipy łączności za rezultaty jej pracy; jemu przede wszystkim przysługiwało tłumaczyć się przed Radą Zakładową i Organizacją Partijną jeśli ekipa nie zrobi wszystkiego, co można, by pomóc rawskiemu SOM-owi do wykonania jego harmonogramów remontowych. To też jak tylko nadarzyła się okazja, jak tylko odlewy tuły były gotowe a bęczka zaoszczędzonych smarów wyciągnięta z magazynu, Kubisiak dopoty deptał po piętach dyrektorowi aż uzyskał zgodę na wyjazd do Rawy. Teraz mijali już Brzeźny pozostawała jeszcze niepełna godzina jazdy i Kubisiak z satysfakcją myślał o tym, że wkrótce już na miejscu zobaczy jak wygląda sprawa. Prawde mówiąc to i bęczka i tuleje nie były tak zaraz POM-owi potrzebne, ale i tak, po to by je dostarczyć trzeba było zrobić specjalny kurs samochodowy tak że Kubisiak nie miał wyrzutów sumienia o zużyciu na dzisiejszą drogę benzyny, której tak skąpo udzielał kierownik transportu.

Tymczasem zetempowiec odpowiadał na pytania jednego z radiowców mówiąc:

— My, to znaczy ekipa przy zakładach im. Strzelczyka, opiekujemy się POM-em w Rawie Mazowieckiej. A znów ekipy z Wi-Pa-Mi i zakładów Stalina mają inne POM-y pod opieką. To, rozumiecie, między nami jest współzawodnictwo.

— Aha, między ekipami — domyślił się radiowiec. Schował do kieszeni notes, w którym próbował coś zapisywać, ale zrezygnował z tego nie mogąc dać sobie rady z dygotającym samochodem.

— Właśnie — wtrącił się do rozmowy milczący od dłuższego czasu Kubisiak. — My tak myślimy; który POM dobrze pracuje, to znaczy się, i opiekę dobra. No i właśnie wieziemy tym naszym w Rawie smar do konserwacji i zapasowe części.

— I fachowca im do pomocy posłał — dodał zetempowiec. — Mechanika samochodowa, wiecie?

Trzeci uczestnik ekipy dokoczył rozpoczęte przez zetempowca dzieło odmiarowania szybki i wyglądał przez okienko. W rozmowie udziału nie brał, w pewnej chwili zawołał nie odwracając głowy od okna.

— Patrzcie-no! Ekipa od Kunickiego.

Wnętrze kabiny przyciemniało nieco bo tuż obok okna przesunął się wielki wóz ciężarowy wyprowadzający samochód Zakładów im. Strzelczyka.

Przed drzwiami kancelarii natknął się Kubisiak na Koprowskiego, elektryka POM-u i przywitał go pytaniem o Ozińskiego.

— Do miasta poszedł, kupił coś na kolację — odpowiedział elektryk, a Kubisiakowi przypomniało się w tej chwili, że to właśnie z Koprowskim najczęściej współpracuje Oziński.

— No i jak? — zapytał. — Dobre wam tu na majster pomaga?

— Nie ma zła powiedzieć, dobrze — usmiechnął się Koprowski. — Daje z siebie, co może.

Ostatnie zdanie elektryka wydawało się niedokończone, wydawało się, że coś tam jeszcze miało być powiedziane, ale utknęło w krtani Koprowskiego. Zanepokoił się Kubisiak.

— Macie z nim jakieś kłopoty? — dopytywał się biorąc rozmowę za guzik kurtki. Koprowski zastanowił się chwilę, podrapał się za uchem i spojrzał na Kubisiaka z uśmiechem.

— No nie, gdzie tam — zaprzeczył skwapliwie. — Kłopotów nie ma, tylko, rozumiecie, on się jeszcze do naszych zwyczajów nie przyzwyczaił.

— Jakich znów zwyczajów? — zapytał Kubisiak i mocno pociągnął Koprowskiego za guzik. — Co wy tu znowu za zwyczaje macie? — naciągnął na rozmówcę sam nie wiedząc, co go bardziej irytuje: czy to, że w POM-ie są jakieś zwyczaje, których on nie zna, czy to, że Oziński nie potrafił się dostosować do owych tajemniczych zwyczajów, czy to wreszcie, że Koprowski mówi o tych sprawach z jakimś tajemniczym uśmiechem.

— Nie ma o czym mówić — tłumaczył elektryk, próbując uwolnić swój guzik z palców Kubisiaka. — Nie ważno. On wam sam powie, a ja już muszę iść. — Ośwobodził się i skinął Kubisiakowi głową pośledzi ku wyjściu.

— Dacie radę na termin? — zawołał za nim Kubisiak, a elektryk skinął lekko głową i odpowiedział: „Dziękuję nie”. Takich niewyrażonych odpowiedzi Kubisiak po prostu nie znośił i do kancelarii wkroczył w nie najlagodniejszym nastroju.

W gospodzie ludowej gości było sporo, jak zwykle w porze obiadowej.

Przy stołach poroziadali się liczni przyjezdni chłopię. Jeden z radiowców zrobił nawet smętną minę na widok tytuł amatorów obsługi, ale Kubisiak uspokoił go zapewnieniem, że długiego czekania nie będzie. Zaraz też zakreślił się i przy kasie i w kuchni, gdzie znano go z poprzednich jego przyjazdów do Rawy i w rezultacie po paru minutach siedzieli już wszyscy nad talerzami dymiącej zupy.

— Widzicie — chwalił się żartobliwie Kubisiak. — Z nami w Rawie nie zginięcie, my tu swoi ludzie.

Rozeszli się wszyscy i chwycili za łyżki.



Foto CAF

— A wy tu skąd? — odezwał się stojący w drzwiach pokoju wysoki mężczyzna. Był to Oziński na widok którego Kubisiak zerwał się z krzesła i szybko szedł przybłądować miejsce koło siebie.

— Siadajcie — no, siadajcie — zapraszał zapobiegliwie a gdy Oziński przysiadł się do stołu Kubisiak spojrzał na niego surowo i bez zbędnych wstępów przystąpił do zasadniczej dla niego sprawy.

— Skarżę się tu na was, ot co. Jak to jest towarzyszu Oziński?

Wyraz twarzy Ozińskiego wyrażał tak oczywiste zdumienie, że nie czekał już na zaprzeczenie Kubisiaka powtórzył mu swoją rozmowę z Koprowskim. Wyszukiwał się o co chodzi mechanik usmiechnął się szeroko.

— Zarty i tyle — rzekł spokojnie. — Zaraz wam powiem do jakich zwyczajów przyzwyczaił się nie mogę.

— Do tego zimna, co? — domyślał się uspokojony Kubisiak.

Oziński skinął przecząco głową. — A co to ja w biurze siedzę czy jak? Moje miejsce w warsztacie, sami wiecie. Tam to właśnie oni mają te swoje zwyczaje. Wściele jak to u nas w zakładach: do roboty przychodzi, narzędzia sobie wyciąga, na stół kładzie i tak już one przez cały dzień leżą. No, jak tu do nich przyjechałem to tak samo robię. I bieda.

Jak tylko odejdziesz gdzieś od stołu to za powrotem tego nie ma, tamtego nie ma. Takie mają zwyczaje.

— Znaczą się, kradną? — odezwał się jeden z radiowców pragnąc wyraźnie określić zwyczaje pracowników pomocowego warsztatu.

Oziński zaprzeczył żywo. — N, nie kradną. Pożyczają sobie po prostu bez pytania i tyle. Przyjeżdża traktorzysta, zobaczy potrzebny mu akurat klucz, dajmy na to i zabiera. Potem odda, czasem na drugi dzień nawet, a ty człowieku ogłupiał się za narzędziem. Taka sprawa.

— Po prostu praca niezorganizowana jak należy — stwierdził Kubisiak. — Anarchia. Ale wasza rzecz,

towarzyszu Oziński! Odczytać ich od tego.

— Nie ma się co dziwić — dodał zetempowiec. — Chłopaki prosto ze wsi do warsztatu przyszli to i nie wszystko od razu rozumieją.

— A z remontem zdążą — pytał Ozińskiego Kubisiak. W odpowiedzi dostrzegł potakujący ruch głowy mechanika, który zabrał się właśnie do obiadu.

Te właśnie najistotniejsze dla Kubisiaka sprawy stanowiły temat rozmów przy stole i na spotkanie z załogą POM Kubisiak szedł już mając dość jasny obraz sytuacji. Była ona ogólnie rzecz biorąc dobra choć nie brakło i spraw, które irytowały i wskazywały, że w POM-ie nie wszystko dzieje się jak należy. Dlaczego na przykład dopiero teraz zabrano się do przerabiania stacyjek traktorowych? To właśnie pytanie zadał Kubisiak zaraz na wstępie swego spotkania z załogą.

W gruncie rzeczy nie było to spotkanie z całą załogą; w stołówce zebrał się tylko ci pracownicy, którzy mieszkali w internacie i nie wyjeżdżali do rodzin. Wystarczyło ich jednak na to, by rozmowa miała wagę. Sprawę stacyjek krótko wyjaśnił Koprowski.

— Jak nie było czego przerabiać to nie przerabialiśmy wcześniej.

— Jak to: nie było? — zdziwił się Kubisiak.

— Zwyczajnie. Najpierw mówiliśmy, że mają przyjść właściciele to i czekaliśmy. Dopiero potem, niedawno, okazało się, że stacyjek do Zetorów nie ma, to trzeba było przegospodarować te do Ursusów i przerabiać je.

Dalsza dyskusja wyjaśniła, że w gruncie rzeczy mechanik Zeromski mógłby już wcześniej dowiedzieć się, jak wygląda sprawa stacyjek, ale czekał aż mu przysłał z Ekspozytury, to co trzeba. Nie było to jakieś wyraźne przewinięcie, lecz opieszałość czy lenistwo, ale Kubisiak nie omieszkał wykażać Zeromskiemu szkodliwości jego postawy.

— To my tu wam pomoc przysyłamy, człowieka od warsztatu odrywamy żeby jak najprędzej wszystko było do siłowni gotowe a wy, można powiedzieć, czekacie sobie spokojnie aż wam przysła stacyjki. To u nas można powiedzieć, ludzie bardziej się waszym POM-em przejmują, bo wam przecież i dziś przywieźliśmy zapasowe tuleje w naszej odlewni odlane. Staramy się, żeby wam niczego nie brakowało, żeby zapasowe części były a wy co?

— A my, towarzyszu, na przykład ja, przepracuję na swoim cięgniku 2200 godzin bez remontu — odezwał się spod pieca traktorzysta Szyszowski marszcząc w uśmiechu usmoleną twarz.

— Co tu gadać, Zeromski nie postarzał się jak należy — zdecydował kierownik polityczny. — Gdybyśmy mieli stacyjki wcześniej to i remont byłby już prawie skończony.

— A tych tulei to jeszcze przywieźcie — zaproponował starszy mechanik. — Nie szkodzi jak ich w zapasie będzie jeszcze więcej.

Kubisiak zdziwił się.

— Jeszcze? Tego, co macie to wam powinno na rok starczyć.

— Kiedy Ekspozytura kazala, żebyśmy pokwepow zapasu oddali innym POM-om — wyjaśnił kierownik polityczny.

— I oddaliście?

— No a jak?



Foto CAF

Kubisiak ośmiał po prostu w pierwszej chwili a potem wstał z krzesła i spojrzal surowo na kierownika politycznego.

— Jakim prawem? — zapytał. — Komu przywzrosło? Wam czy Ekspozyturze? Jakim POM-em opiekujecie się wasza ekipa? Rawskim czy wszystkimi w całym województwie? Dla kogo wasza odlewnia, nasi ludzie robią? Przecież każdy POM ma swoją ekipę. Nie ma takich zakładów co by miały odlewnie? W Wi-Pa-Mi nie ma może odlewni? Nie może Wi-Pa-Ma swojego POM-u zaopatrzyć czy jak? My musimy dla wszystkich robić a potem tamtym innym ekipom policyjnie naszą robotę do współzawodnictwa. Nie trzeba wam było dawać i koniec.

— To niby jak? — zdziwił się kierownik polityczny. — Mamy może tajne magazyny zakładów, takie do których Ekspozytura nie wpuszcimy, co?

— Przecież to nasza robota — upierał się Kubisiak. — Dla was myślimy robili a nie dla kogo innego.

— Towarzyszu Kubisiak, czego się złościć? Tego że inne POM-y będą mogły lepiej pracować?

— Wracali do Łodzi wieczorem; ciemno było w kabinie z dyktu i cicho choć pasażerów przybyło. Wracali do Łodzi na niedzielę Oziński, paru traktorzystów skorzystało z okazji i zabrało się do domów, znajdujących się we wsiach, przez które samochód miał przejechać. Ciemność, lekkie dygotanie samochodu i ciepło panujące w kabinie mimo mrozu na dworze nastrojało ludzi sennie. Drzemali lub w milczeniu palili papierosa, czasem pogwarzając szeptem.

CHŁOPSCY RACJONALIZATORZY

(Dokończenie ze str. 3-iej)

ników w dziedzinie, które miało wydać pełne owoce dopiero po latach. Wtedy to już zastosowano sprawdzian, charakterystyczny dla naszych lat Wielkiego Planu. Okazał najwyższy dowód odwagi i wiary politycznej: Gołowski zginął w obronie rewolucji — twoja rewolucja. Głoszycie trzy razy tak — Twoja ojczyzna i państwo. A jak mocno i śmiało wrastasz w przyszłość Ludowej Polski i w jej rewolucyjne budownictwo? W tych pierwszych latach Łęczny dał odpowiedź na trzecie pytanie: „zaryzykować” postępek, kiedy musiał jeszcze drzeć o życie, kłaniać się kulakowi i grzeszyć w „obowiązujującym” na wsi zaciągnięciu. Rewolucja rozwijała się w szybkim tempie tam wszędzie, gdzie malarolny rwał się do skoku dla ulepszenia produkcji. I na Łęcznym się nie zawiodła. Rozwijał się ten racjonalizator na inwestycjach i pomocy państwa. Oczyszczal się pomalutka z „nałotu” „chłopa-roztropka”, któremu osobisty interes pomagał rozwijać bystrość.

Łęczny doszedł wkrótce do dużego inwentarza. A kto ma bydło, ma mleko obornika... jeśli ma słomę lub wozorowy gnojownik. Łęczny wniósł nowe podanie o kredyt na taką mularowaną gnojownię. Dostał. Zaoferował słomę, a pod inwentarzem mógł utrzymać suche stanowiska, higiena to nowy warunek dobrej hodowli.

To jednak strona rachunku a teraz druga. Łęczny „wykierował się” na znawcę hodowli bydła i trzody. Ten samouk wlażył po uszy w lekturę fachowych książek. Brał udział w krajowym konkursie: „Jak żywić i plegać” krowę w gospodarstwie”. Otrzymał czwartą nagrodę. Uczestniczył w warszawskiej naradzie aktywów naukowych i gospodarczych w sprawie rozszerzenia bazy paszowej. Wzleciał jeszcze jesienią otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi za wzorowe wykonywanie obowiązków obywatelskich. Z dziesięciu tużników oddał na kontraktację 9. Tuzniwa wies 15-tu sztukami inwentarza na 3 ha (gdzie łącka stanowi parowaty ogarek).

— Ale w tym ostatnim efekcie sprawa nie jest już tak prosta. I tu wraca podobna, jak u Szwejrowskiego sprawa. — Bardziej nawet zastrzeżona. Ekonomicznie — na cóż wskazuje 3 ha Łęcznego? Na to, że można mieć dochody mocnego średniaka. Produkcję? Ze można wyciągnąć na indywidualnym (i nawet małym) gospodarstwie dwa razy więcej — powyżej przeciętnej.

Drogi do tego i tak rozumianego „sukcesu”? Dwie — domagać się od państwa inwestycji albo własnymi (a to znaczy — nie zawsze najczystszy) sposobami „doskoczyć” do silosu i gnojowni. Czystą drogą poszli już z wzorem Łęcznego dwaj inni chłopcy z jego wsi, Smoleń i Medlikowski.

Ta droga wciąż jeszcze, acz wymaga wysiłki i zapal produkcyjny chłopów, przedłuża ich doświadczenie możliwości gospodarki indywidualnej.

Kubisiak ani nie spał, ani nie palił. Oparłszy się o dyktę ścianki i wyciągnąwszy przed siebie nogi myślał i nie mógł ani rusz zrozumieć, co mu też do głowy strzeliło. Jakże to się stało, że on, doświadczony i wyrobiony aktywista mógł pałać takie głupstwo wobec kilkunastu młodych traktorzystów i mechaników, takich właśnie co to nie zawsze jeszcze potrafią zrozumieć, jak się powinno pracować w warsztacie? Przypomniał sobie pytanie kierownika politycznego i aż mu się wstyd zrobiło. Ze też sprawa współzawodnictwa mogła mu tak przysłużyć te inne, znacznie ważniejsze sprawy, do tego stopnia, by wszystko razem pomieszało mu się w głowie i zamocło. Błąd, krytykował sam siebie, błąd, który powstał z tego, że się myślało przede wszystkim o swojej ekipie. I popatrzyć tylko: zrobisz człowieku taki mały wydawaloby się błąd, zapomnisz na chwilę o tem, że fabrykera ma służyć nosowi, a nie samej sobie i głupstwo gotowe. Dobrze jak się na głupstwie skończy tak jak dziś właśnie.

Otrząsnął się Kubisiak z tych myśli i wyciągnąwszy z kieszeni papiersa zwrócił się o ogień do siedzącego obok Ozińskiego. Przypalił a potem ujął sąsiada pod ramię.

— Ale się wygłupiał, co? — zapytał szeptem.

— Nie można powiedzieć — zgodził się Oziński także szeptem i w mroku ujął Kubisiaka za łokieć krótkim lecz pełnym wyrazu uściśnięciem. Zasmiał się obaj porozumiewawczo.

Szyszowski siedzący naprzeciw usłyszał ten śmiech i widząc, że Kubisiak nie śpi, zapytał go ciekawie.

Towarzyszu Kubisiak, kiedy przyjedziecie do nas z całą ekipą?

Edward Szuster

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

GDZIE ROK TRWA 150 DNI

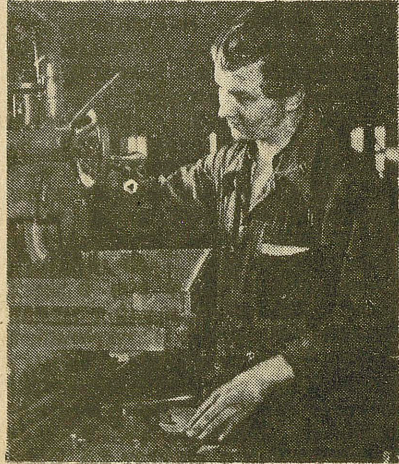


Foto CAF

O ZNACZENIU W-4 dla Pa-Fa-Wagu świadczy proste zestawienie dwu cyfr: z około 7.000 części, z jakich składa się wagon osobowy, na W-4 wykonuje się 1500. Stąd też niewykonanie planu przez W-4 w trzecim kwartale 1951 roku lamalo plan całego zakładu. W 4-ym kwartale 1951 r. zaczął się przełom. Dwaj młodzi wiertacze: Stefan Ostrowski i Jan Kolodziej, wykonujący 200—230 proc. normy przeszli na wspólną obsługę 4-ech maszyn i wezwali kolegów do współzawodnictwa. Wezwanie podjęto również w innych wydziałach. Na początku 1952 r. zakład zaczął wykonywać plan.

Pa-Fa-Wag, jako pierwszy w kraju, rzucił apel o podejmowanie zobowiązań ku czci 60-rocznicy urodzin Prezydenta i święta 1-go Maja. W marcu jako pierwszy z załogi zameldował o wykonaniu swoich zadań w planie 6-letnim Ostrowski, 22 marca — Kolodziej. W liście załogi meldu-

jącym o wykonaniu podjętych zobowiązań z nadwyżką — czytamy:

„Realizując wskazania naszego Komitetu Centralnego, którego pracami Ty kierujesz, rozwijaliśmy współzawodnictwo pracy, podnosiliśmy wydajność, usprawnialiśmy organizację i technologię produkcji, rozwinięliśmy ruch racjonalizatorski i dzięki naprężonej walce o Plan, prowadzonej przez całą naszą załogę, zdolaliśmy przełamać trudności najcięższego okresu i podnieść nasz zakład na nowy, wyższy poziom”.

W tym, że rok w naszych rekach skurczył się do 20 tygodni, żadnej tajemnicy nie ma — mówią Ostrowski i Kolodziej. — Po prostu jesteśmy osobiste serdecznie i szczerze zainteresowani w rozwoju produkcji i podniesieniu wydajności. Słowa: nasza fabryka, pracujemy dla siebie — są prawdziwie nie tylko dlatego, że zarabiamy nie mniej niż 2.000 zł, miesięcznie, że przyzwicie, nareszcie naprawi? po ludzku mieszkamy, że mamy swój udział w kierowaniu i gospodarowaniu fabryką. Ale czy mogliby kto z nas pomarzyć o takim uznaniu dla naszej pracy przed wojną? Jesteśmy potrzebni i pożyteczni. Nie pytamy z niepokojem: co będzie jutro? Projekt Konstytucji gwarantuje nam te prawa, z których korzystamy już dziś w życiu — i perspektwy na przyszłość. Wczoraj dostaliśmy radosną wiadomość o przyznaniu nam Złotych Krzyży Zasługi. To zobowiązuje.

O tym, co było przed wojną, wspominać jak o czymś bardzo dalekim i bezpożytecznym.

Skrakem ziemi nad Pilicą nie mógł wyżyć b. licznej (10 osób) rodziny Ostrowskich — tak jak i taki pastwiska na wsi podłódzkiej rodzi-

ły Kolodziejów. Jeden brat Kolodziejów w Francji szukał pracy, drugi Polkę przemierzał wszędzie i wzdłuż za robotą. Dziś jeden z nich pracuje w hucie Częstochowa, drugi z Jankiem z Pa-Fa-Wagu. On sam jako wywieziony przez okupanta na roboty do Niemiec, po wojnie wrócił do kraju i od 1946 roku pracuje w Pa-Fa-Wagu od pierwszych dni razem z Ostrowskim. Ich losy osobiste łączą się odnajdając się z losami fabryki. Wzajemna współpraca, pomoc koleżeńska zmieniła się z czasem w trwałą przyjaźń.

Początkowo koledy z nieufnością i niedowierzaniem patrzyli na naszą robotę. Niektórzy nawet podejrzewali, że dostajemy lepszą, łatwiejszą robotę. Aleśmy pokazali, że w naszych sukcesach tajemnic nie ma. Przede wszystkim: świadomość, że to co robimy — można robić lepiej i szybciej, że robimy to dla siebie, dla fabryki, dla Polski Ludowej. Punktualność i dokładność w pracy, maksymalne wykorzystanie czasu i maszyn, które, mimo że pracują pod największym obciążeniem, nie były od 6-ciu lat w głównym remoncie. No i współpraca. Jeśli któryś z nas dostał pilniejszą czy bardziej trudną robotę — wykonywaliśmy ją wspólnie, a potem wspólnie braliśmy się za robotę drugiego. Parę małych usprawnień — i macie. Np. dostaję do obróbki nakrętki, a Janek łożyska płaskownikowe, które są natychmiast potrzebne. Wykonujemy więc najpierw wspólnie jego zadanie, później moje.

Nieraz w rozmowach z kolegami o naszych trudnościach, że tego, czego owego brak, nawet najbardziej niewierny i nieufny Tomasz nie potrafi dać sobie rady z pytaniem: — A co

byś, chłopie, robił, gdybyś nie miał tego wszystkiego, co ci dała władza ludowa, gdyby trwały czasy naszego ciępkiego i trudnego dzieciństwa.

— Nawet szczerzącym się z BBC wymknę się czasem słowo prawdy o nas: niedawno żalili się, że u nas w Polsce pastuchy chodzą do szkół i uniwersytetów, że dostają dyplomy i odznaczenia, że zasiadają na uroczystościach razem z najwyższymi dostojnikami. To ich boli.

— Byłem niedawno na uroczystej akademii ku czci 60-lecia urodzin Tow. Bieruta. Widziałem Go. Słuchałem jego prostych i mądrych słów. I jeszcze najmniejszym stało się postanowienie: pracować tak, aby On mógł być z nas dumny, tak jak nas uczy nasza Partia i On przykładem własnego życia, pełnego walki i wytrwania w imię jasnej przyszłości narodu polskiego.

Dlatego młodzi wiertacze z W-4 Stefan Ostrowski i Jan Kolodziej, potrafili nagiąć i podporządkować potrzebom planu czas. Szczęśliwie wykonali w niespełna 27 miesięcy. Do 76 rocznicy urodzin Tow. Stalina wykonali jeszcze jedną.

Przy całej masie obowiązków społecznych i partyjnych zadań (żony kreśliły początkowo trochę nosom na te ich obowiązki, a teraz prasa spono-ko nie daje, „po co tyle szumu”) umiemy znaleźć czas na przeczytanie książki, na kino, teatr, zawody sportowe i pracę w ogródku, czas dla rosnących wymagań ich dwu i trzyletnich pociech.

Bo sami są ludźmi z najtrwalszego surowca: z entuzjazmu dla pracy, z przywiązania do Partii i jej Przewodniczącego, z miłości do Ludowej Ojczyzny.

Kazimierz Koszutski

Racjonalizator na wsi, jak widać na przykładzie Łęcznego, to nie tylko punkt oparcia i rozwoju postępu w organizacji i produkcji rolnej, to również oś, wokół której obraca się, zaostża i rozjaśnia walka klasowa.

Szwejrowski — łaki, Łęczny — hodowla a przez każdego z nich wznosi się świadomość polityczna gromady, zbiera nurt walki i przemian. Zaś dla nauki polskiej, dla planowania terytorialnego, dla rejonizacji, dla specjalizacji tacy Szwejrowscy i Łęczni, to coraz gęstsze punkty oparcia i transmisji postępu w produkcji rolnej, postępu, który stanie się najpóźniejszym wianem wsi socjalistycznej.

Krystyna Pałys

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

40-lecie „Prawdy”

W. DYCHAWICZNYJ I M. SŁOBODSKOJ

MIECZYSLAW INGŁOT

„Prawda” w walce o literaturę socjalistyczną

POSTULATY dotyczące podstawowych cech literatury radzieckiej zostały określone przez Lenina jeszcze przed zwycięstwem Rewolucji Październikowej. W okresie walki z „narodnictwem” w głośnym artykule p.t. „Treść ekonomiczna narodnictwa i jej krytyka w książce p. Struwego” (1894) Lenin przejrzyście przedstawił wyższość pisarza materialisty nad burżuazijnym „obiektywistą”. Pisarz — uczył Lenin — postępujący się marksistowską dialektyką jest najbardziej konsekwentny w swoim obiektywizmie, albowiem w oparciu o określoną klasę społeczną, t.j. proletariata, wnosi do literatury element ideowości.

Postulat ideowości — służby literatury w celach przebudowy świata został głęboko i wszechstronnie rozwinięty w artykułach i wypowiedziach Lenina o Herce, Bielinskim, Czernyszewskim, L. Tolstoju, M. Gorkim i o innych, a zwłaszcza w napisanej w 1905 r. pracy „Organizacja partynia a literatura partynia” oraz w dziele „Materializm i empirio-krytycyzm”. „Nie można żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa” — wołał Lenin, rzucając maskę obłudy z rzekomo niezależnej „sztuki” burżuazyn. Lenin demaskował zależność sztuki burżuazyn od celów kapitału i przeciwstawiał jej sztukę prawdziwie wolną, związaną z walką i nadziejami wyzwolenia wielomilionowych mas ludu. „Będzie to literatura wolna dlatego — postulował Lenin — że będzie służyć: nie przesyconej bohaterce, nie znudzonym i cierpiącym z nadmiaru tłuszczy „górnym dziesięciom tysiącom”, lecz milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy stanowią kwiata kraju, jego siłę, jego przyszłość”.

Pierwszym pisarzem proletariackim, który rozwinął swoją działalność w myśl postulatów Lenina, był Maksym Gorki, zwłastu rewolucyjny proletariacki w literaturze i twórca realizmu socjalistycznego. W maju 1907 autor „Matki” spotkał się z Leninem na jeździe w Londynie. Rozmawiali o najnowszym dziele Gorkiego, napisanym w roku 1906, znanym Leninowi z rękopisu. Lenin chwalił „Matkę”, „Książka bardzo na czasie, książka potrzebna; wielu nieświadomych robotników brało żywiołowy udział w ruchu rewolucyjnym, teraz przeczytają „Matkę” z wielkim dla siebie pożytkiem”. „Matka” Gorkiego spełniała w wielu wypadkach rolę szkoły, w której proletariacki uczył się świadomości socjalistycznej. Na tle rozkładowych, burżuazyn - dekadentkich kierunków literatury doby imperializmu, powieść Gorkiego odznaczała się wielkimi wartościami realistycznymi i stanowiła drogowskaz dla ówczesnych i późniejszych pisarzy.

Walkę o ideowość w literaturze, o jej realistyczną metodę twórczą podjęły organy socjaldemokracji leninowskiej: „Zwiewda”, „Prawda”, „Znanie”. Po upadku rewolucji 1905 roku w Rosji pod naporem ideologii imperializmu rozpanoszyły się dekadentckie kierunki literackie, które odciągały czytelników od walki społecznej, stały pesymizmem i niewiarą w zmianę ustroju, spychały umysły na manowce reakcji. W tych warunkach przywódcy rosyjskiej klasy robotniczej, Lenin i Stalin, uważali za konieczne podjęcie bezkompromisowej walki ideologicznej m.in. także na froncie literatury. W grudniu 1910 r. ukazuje się tygodnik „Zwiewda”, który staje się trybuną partyjnej literatury, związanej z walką proletariatu. Tu rodzi się bojowy talent satyryczny Demiana Biednego, tu pisarze lewicowi i postępowi, wreszcie korespondenci - robotnicy zamieszczają swoje prace. Po zamknięciu „Zwiewdy” przez cenzurę carską, walkę podjęła gazeta codzienna „Prawda”. Pierwszy numer został zredagowany przez Stalina i ukazał się 5 maja 1912 roku.

„Prawda” odegrała ogromną, doniosłą rolę w walce o literaturę proletariatu. Była kuźnią bolszewickiej ideologii, niosła w masę świadomość rewolucyjną i realizowała leninowski postulat literatury, która „winna stać się częścią sprawy ogólnoproletariackiej”. Zwalczając burżuazynskich ideologów, wypowiadając zdecydowaną walkę reakcyjnym prądom literackim, „Prawda” wzięła odrodzenie literatury rosyjskiej z walką o socjalizm. Demaskowała hasło „sztuki dla sztuki”, jako przykrywkę dla szalejącej po r. 1905 reakcji, wskazywała, że holdowanie t.zw. „czystej sztuce” nieuchronnie prowadzi do reakcyjnej „apolityczności” i „bezparyjności”, że zaś służą wstępnictwu. Według tej teorii — pisała „Prawda” — na pierwszym planie znajduje się winna nie treść lecz forma. A najwyższy ceniony jest „talent”. „Utalentowany” — znaczy to według teorii „czystej sztuki” — piękny, szlachetny, wzniosły. Zaś w jakim kierunku talent ten się zwraca, to już nas, twierdzą ci ideologowie, nie obchodzi”.

Upadek literatury rosyjskiej w okresie po rewolucji 1905 roku łączył się z odejściem od wielkich wzorów literatury realistycznej, z zerwaniem z tradycją wielkich pisarzy XIX w., z przekreśleniem nurtu rewolucyjno-demokratycznego przeszłości. Hasło „sztuki dla sztuki” krzewiło krainę indywidualizmu, psychologizmu, pesymizmu, mistycyzmu i erotyzmu. Pisa-

rze cofali się z czołowych pozycji realistycznej prozy rosyjskiej, stacali się na dno artystycznego upadku. „W literaturze — pisał Gorki — dzieje się coś niesłychanego, wciąż dalej posuwa się proces duchowego rozkładu, rośnie cynizm...” Temu procesowi gnicia, spychania literatury pod osłoną „sztuki dla sztuki” na pozycje reakcyjne wydała zdecydowaną bitwę „Prawda”. Głosząc postulat ideowości-partyniowości literatury, „Prawda” skupiała najlepszych postępowych pisarzy. Wychowywała zastępy nowych talentów na zasadach estetyki marksistowsko-leninowskiej, hartowała je w ogniu walki o zwycięstwo proletariatu. Uczyła realistycznego widzenia rzeczywistości, a w tej nauce odwołała się do postępowego dorobku przeszłości. Odkryła i oświeciła na nowo twórczość Radiszczewa, Puszkina, Gogola, Turgeniewa, Saltykowa-Szczedrina, Hercena, Czernyszewskiego, Mamina-Sibiraka, Korolenki i innych. Podniosła zasługi pisarzy ud. wieku w walce z państwową i niesprawiedliwą społecznością. Powiązała postępowy spadek przeszłości z rewolucyjną teorią marksizmu. Należało z naciskiem podkreślić, że twórcza praktyka „Prawdy” stanowiła przesłankę dla rozwoju późniejszej literatury radzieckiej. Organ bolszewików łączył bowiem dążenie do realizmu z walką proletariatu, określał realizm, jako obowiązującą, podstawową cechę twórczości, która chce służyć wielomilionowym masom ludowym.

Działalność „Prawdy” zaważyła wydatnie na kształtowaniu się literatury rosyjskiej w okresie przedpaździernikowym. Zaczynał coraz wyraźniej dochodzić do głosu realizm. Krzepły talenty Gładkowa, Serafimowicza, Nowikowa - Pribojki i innych. Wzrastała twórczość Maksyma Gorkiego. „Prawda” wpływała także na pisarzy - sympatyków. „Kończąc się czasy panowania panów Artybaszewów, Kamieńskich i innych z ich zmanierowaną, krzykliwą twórczością” — pisał organ bolszewików w 1913 roku. W artykule „Odrodzenie realizmu” „Prawda” stwierdziła, że wzrost tendencji realistycznej i zanotować ich nasilenie w twórczości Aleksandra Głazowa, Siemionowa - Cehłowskiego, Bunina i innych. Wpływ „Prawdy” docierał do najdalszych zakątków Rosji, pismo wspomagało i skupiało talenty robotnicze, przejawiające się tak w postaci sepek korespondencji, jak i w formie oryginalnej twórczości artystycznej. Na łamach „Prawdy” pojawiały się nowe, pisanie proletariackie.

W roku 1914 przy pomocy „Prawdy” ukazało się zbiorowe dzieło p. t. „Pisarze proletariacy”. Jego twórcami byli autorzy - robotnicy, drukujący się w „Prawdzie”; niektórzy z nich przebywali na zesłaniu lub w więzieniu. Pisali, aby nie tylko czynem, ale i słowem walczyć o zwycięstwo klasy robotniczej. Zbiór ten stanowił jaskółkę przyszłej literatury radzieckiej, ujawniał nowe talenty i tematy, a przede wszystkim olbrzymie twórcze możliwości, tkwiące w wielomilionowych masach ludu. Ukazywał, że walcząca klasa robotnicza zdolna jest do stworzenia nowej, realistycznej literatury, tej, którą postulował Lenin w artykule „Organizacja partynia i literatura partynia”. Wydańnictwo odsłoniło nowe „elementy kultury demokratycznej i socjalistycznej”, o których mówił Lenin w 1913 r. w „Krytycznych uwagach o kwestii narodowościowej”. „W każdej kulturze narodowej znajdują się elementy kultury demokratycznej i socjalistycznej, aczkolwiek nierozwinięte, ponieważ z każdym narodzi się masa pracująca i wyzyskiwana, której warunki życia nieuchronnie rodzą ideologię demokratyczną i socjalistyczną”.

„Prawda” odegrała wybitną, doniosłą rolę w zakresie dojrzewania rewolucyjnej ideologii i kształtowania nowej proletariackiej literatury. Zmobilizowała masy i ukazała ich twórcze możliwości. Toteż słusznie pisał Gorki w przedmowie do wspomnianego zbioru p. t. „Pisarze proletariacy”: „Jestem głęboko przekonany, że proletariata może stworzyć własną literaturę piękną”.

Lata po zwycięstwie Rewolucji Październikowej w pełni potwierdziły przekonanie Gorkiego. Rewolucja otworzyła przed literaturą ję uświadomionymi dołą talentami z ludu nieograniczone możliwości. Leninowska zasada partyniowości sztuki triumfalnie świadczyła zwycięstwo w setkach nowych książek, w narodzinach nowych talentów. Odtąd nie już nie stało na przeszkodzie, by sztuka otworzyła i świadomie służyła ludowi. Partia troskliwie kierując rozwojem literatury stanęła na straży interesów ludu i wezwala twórców, by pisząc brali za punkt wyjścia sprawy radzieckiego narodu, jego potrzeby, jego walkę, jego dążenia do socjalizmu. Interesy artysty zbiegły się z celami mas pracujących. Stworzyło to warunki dla powstania wielkiej literatury radzieckiej, rozwijającej się coraz pomyślniej pod troskliwym kierunkiem WKP(b).

Grzegorz Timofiejew

NIE WIADOMO ZA CO

Na dnie statku kołysze się rota.
Whisky, zabawa, śmiech strzela racą.
Jedzie chłopiec ze stanu Dakota,
Jedzie bić się nie wiadomo za co.
Trochę wódki pociągnął ze szklanki,
rżnie śmiałego i siadłszy na koi
podziósł do ust piskliwie organki,
żeby smutek piosenką ukoić.
Po cichutku z nim śpiewa piechota
tę piosenkę każdemu znajomą:
„Jedzie chłopiec ze stanu Dakota
jedzie bić się — za co, nie wiadomo...”
Choć właściwie, wiadomo, gdzie jedzie,
jednak pojąć nie może dlaczego?
A tak chciałby się żołnierz dowiedzieć,
kto do piekła go śle strasliwego.
— Kto do walki mnie pędzi zacieklej?
— To twój kapral rozkazał umierać!
— A kaprali kto rzuca do piekła!
— To generał, mój chłopcze, generał!
— A któż śle generałów w pochody?
— Śle kapitał, mój chłopcze, kapitał!
On już dawno z tych wypraw dochody
zliczył, chłopcze mój, w akcjach i kwitach.
— No, a gdzież jest nasz sztandar bojowy,
nieodłączny druh w walkach zaciętych?
— Popatrz dobrze! Nad nasze to głowy
flagą wzbija się dolar pomięty!
— Czemu marsz nie rozbrzmiewa skrzydlaty,
pieśń zamilkła i nie gra orkiestra?
— Słuchaj w kasach bankierskich pękających
dzwonów dolary w złotych rejestrach.
Choć te dźwięki dla ciebie są obecne,
bo nie żołnierzom gra złoto w kasach,
dostaniesz ty swoją porcję, chłopcze,
w kształcie kuli w koreańskich lasach.
Dość śpiewania! Bo już nieochota...
Zamierają organki z rozpaczą...
Jedzie chłopiec ze stanu Dakota,
jedzie umierać, lecz nie wie za co.

Przełożył Grzegorz Timofiejew.



ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

WIATR

W górach Korei, w Indonezji,
wśród głązów, w skwarach pyłu dróg
dziewczynie śpiewają pieśni
płomień osmałał smukłość nóg.
Przez ogień młoda biegnie szybko,
przez świst, przez młodość swą, przez ból
i może nagle w gwiazdzie kul
czuje: szczęśliwa pachnie przyszłość
w wietrze — od maozowieckich pól.

On w ciszę mojej nocy wieje
i w światło dnia, i w zachwyt wschodów.
Jest snem spokojnym i nadzieją
dziewczyny maozowieckiej, młodej
co pieszko idzie drogą, polem
z błękitem świata w blasku źrenic
i także wie, jak serce boli,
gdy je osmała bież płomieni.
Dziewczyno, radość twoja w męce
zrodzona, w ogniu twardego
i śmiech na wargach twych dziewczęcych
sumą doświadczeń wydołała.
Dlatego dzisiaj, idąc polem,
ziemi i marzeń agromonie,
słyszysz, jak wiatr ci głosem woła
tamtej dziewczyny. I twych wspomnień.

I ja bym tobie składać wołał
wiersze o kwiatach, łakach, gajach.
Cóż, gdy wiatr po nich jak po polach
hula — z Mazowsza i z Malajów,
wiatr z Mazowiecki, Koreański,
wiatr, co w cyprach greckich szumiał,
huczy w nim echo salw hiszpańskich.
Zrozum — inaczej już nie umiem,

Nie umiem. Jeszcze twoje włosy
śpiewam i twój codzienny trud,
bo wiatr go z tamtą walką łączy
i miesza z pyłem tamtych dróg
w pieśń jedną. A ja ponad życie
cenię i ponad szczęścia wszystkie,
i nad przydrożne cień topoli,
i nad własnego serca bicie
trącone wiatrem tym jak listek,
że serce boli.

Zdzisław Polsakiewicz

ZA 38 RÓWNOLEŻNIKIEM

MELDUNKIEM z pola bitwy nazwać można każdy utwór literacki Ludowej Korei, gdzie o wadze dzieła decyduje i znaczenie jego określa fakt, w jakim stopniu pisarz złączył się z aktualną problematyką swej ojczyzny, ze sprawą walki przeciwko agresorom i interwentom. Te literackie meldunki takie, jak omawiany obecnie przez nas utwór dramatyczny, posiadają wszystkie wady i zalety „meldunku”. Wadą jest pewna surowość w obróbce literackiej, brak pełnego i wyczerpującego zindywidualizowania poszczególnych postaci; zaletą, która niewątpliwie przewyższa te niedobory — rzetelna dokumentarność utworu oraz zobrazowanie głębokiej, gorącej idei patriotyzmu i złączenia się pisarza z narodem w jego nieustępliwą walkę aż do całkowitego zwycięstwa.

Dramat „Na południe od 38 równoleżnika” ukazuje sytuację w Korei Południowej bezpośrednio przed agresją. Jak wiadomo, zgodnie z porozumieniem zawartym między ZSRR a USA, Korea została w r. 1945 tymczasowo podzielona na dwie strefy — północną radziecką i południową amerykańską. Rozwój życia politycznego i kulturalnego towarzyszy dniom po wyzwoleniu, w obu częściach kraju. Mnożą się postępowe organizacje i partie polityczne, których zadaniem naczelnym jest walka o zjednoczenie narodu koreańskiego. W czerwcu 1949 roku odbywa się zjazd organizacyjny Jedynego Demokratycznego Frontu Patriotycznego Korei, który uchwala odezwę do narodu, zawierającą konkretny program pokojowego zjednoczenia kraju. Agitację za zjednoczeniem prowadzi w obu częściach kraju Partia Pracy, pod kierownictwem Kim Ir-sena, wodza narodu koreańskiego. O ile jednak działalność jej na północy rozwija się swobodnie pod opieką władz radzieckich, a później w niepodległej Republice Korei Ludowej, o tyle na południu sprawa wygląda zupełnie inaczej. Już w r. 1945 gen. Hodges, dowódca amerykańskich wojsk okupacyjnych w Korei, odmówił uznania demokratycznych organów ludowych, uważając, że jedyną władzą w południowej części kraju jest wojskowa administracja amerykańska i skazując tym samym szereg postępowych organizacji na działalność podziemną. W oparciu o byłych japońskich lokajów, obszarników i kapitalistów, Amerykanie utworzyli w sierpniu 1948 roku marionetkowy rząd Li-Symana. Obejmuje on władzę wtedy, gdy okupanci opuszczają Koreę Południową pod naciskiem narodu. Chociaż wojska amerykańskie opuściły kraj, jednak na terenie Korei zostają amerykańscy doradcy. Rząd USA, pragnąc realizować swój plan w podboju Azji, po niepowodzeniach w Chinach, zwraca baczną uwagę na Koreę. Położenie strategiczne półwyspu, jako bazy wypadowej przeciwko ZSRR i Chinom przysłał agresorzy doskonale oceniają i rękami swych instruktorów zaczynają przygotowywać do tego celu lisymanowskich żołdaków.

Reforma rolna, wzrost produkcji przemysłowej, dobrobyt mieszkanców — oto rezultaty rządów Republiki Ludowej. Budowa lotnisk wojskowych, magazynów, poligonów, wzmocnienie pozycji obszarnika i kapitalisty, niedza mas, 2,8 mil. bezrobotnych — oto wynik rządów Li-Symana i jego amerykańskich instruktorów. Naród koreański widział i porównywał. Walcząc o zjednoczenie, walczył jednocześnie o dobrobyt całego kraju. Thai Dian Czun w swej sztuce wprowadza nas w krag zagadnień nurtujących rzeczywistość koreańską przed agresją. Autor rzutuje fabułę sztuki na teren Korei Południowej, ukazując, jaką fikcją jest 38 równoleżnik, tam, gdzie po obu stronach tak samo biją serca ludu woła zjednoczenia i nienawiści do wszelkiej oficjalnej czy zamaskowanej okupacji amerykańskiej. Problematykę utworu obrazuje Thai Dian Czun przez nakreślenie przedstawicieli ugrupowań, odgrywających zasadniczą rolę w kraju; akcję opiera na ukazaniu taru i walki tych ugrupowań. Z jednej strony rysuje zatem lisymanowców, naczelnika policji San Mana, i jego wspólnika kapitalistę Kim Ik To, ukazanych, jako lokajów w rękach amerykańskich; radcy policji Spelman i Jonsona, kiedyś misjonarzy, obecnie radcy prowincji, a w istocie handlarzy ryżem konfiskowanym ludności koreańskiej, rzekomo dla potrzeb armii amerykańskiej. Ta łączność businessu i policji, zarówno u obcych jak i rodzimych faszystów na ziemi koreańskiej, wraz z nawlasowo ukazaną sylwetką pilnującego portu amerykańskiego krawężnika — to rzeczywistość kolonialnego systemu. Przeciwnie stawia się fałszywym grupą patriotów koreańskich z Kim In Czenem, kierownikiem podziemnej komórki Partii Pracy, na czele. Treść dramatu — to los walki tych ugrupowań; na jej tle rozgrywa się proces przejścia inteligenta koreańskiego, lekarza Tian - Men-Si w szeregi bojowników podziemia oraz dramatyczny wątek „bohaterki tragicznej” utworu — córki lekarza, In-Sen, oficjalnie — agentki policji reżimowej, a w istocie członka podziemnej ludowej organizacji.

Zarys akcji przedstawia się następująco: miejscowa komórka Partii Pracy przygotowuje strajk w celu niedopuszczenia do załadunku ryżu na statki amerykańskie. Zagroza to interesom Jonsona i Spelmana, którzy chcą zarobić na tym towarze. Strajk wybuchł. Amerykanie pragną zdusić go siłą, przy użyciu oddziałów policji lisymanowskiej i własnych sił zbrojnych. Robotnikom przychodzi z pomocą partyzanci, którzy dzięki wskazówkom In-Sen opanowali miasto, pokonując wysłane przeciwko nim grupy likwidacyjne. W międzyczasie ginie jednak In-Sen, zamaskowana przez swego szefa — naczelnika policji San Mana a zastrzelona przez Spelmana.

Bohaterstwo, patriotyzm, poświęcenie, oto cechy występujących w dramacie bojowników-komunistów. Działalność ich ożywia świadomość, że walcząc o zjednoczenie, walczą o szczególne jutro, takie, jakie rząd ludowy realizuje w Korei Południowej, takie, jakie zrealizował już w ZSRR. Wzruszająca jest scena, gdy członek ruchu podziemnego, gazeciarz Czer Son, przekazuje bezrobotnym i prześladowanym rodakom wiadomość, że „Koreańska Rep. Lud. rozdała chłopom ziemię, a ZSRR przysłała Korei ryż, traktory i samochody”.

Do szeregow walczących zgłasza się także Tian Men Li. Ten koreański inteligent wierzy w jakiś ponadklasowy humanitaryzm uznawany przez wszystkich ludzi. Wezwany dla zrobienia opatrunku rannemu przez amerykańskiego oficera robotnikowi-komunistę Czan - Hajowi, widzi w nim tylko rannego człowieka i uważa, że nawet wrogowie powinni to uznać. Ale dla Amerykanów istnieje tylko Czan - Haj, „przestępca”. Mordując go tedy, a lekarza aresztując za udzielanie pomocy. Pochylony nad ciałem zastrzelonego córki, Tian Men Li mówi do partyzantów: „Przez całe życie zdawało mi się, że głównym źródłem mądrości jest miłość i współczucie dla wszystkich ludzi bez różnicy. Zdawało mi się, że słoneczko nie uznaje pokrewieństwa, że świeci jednakożo dla wszystkich. Nauczyciele mnie innej mądrości, mądrości walki i nienawiści do wrogów”.

Najtrafniej ukazał autor świat o wycich wrogów i ich marionetek. Misjonarz Jonson mówi do swego wspólnika Spelmana: „Wszelkiewiat opiera się na dwóch filarach, na idei moralnej i materialnej amerykańskiej rasy oraz na idei walki z czerwonym niebezpieczeństwem. I my obaj powołani jesteśmy do umocnienia tych idei tu, na Oceanie Spokojnym, na tej arenie przyszłych walk w imię panowania nad światem. Ta bitwa zbliża się, czas jej już nadchodzi i nam przypadł honor bitwę tę rozstrzygnąć. Spelman odpowiada ironicznie: „Niech pan lepiej powie, co nam pisać agent z Nagasaki”. Zza dymnej zasłony hasła o „wolności amerykańskiej”, o „młsił dziejowej” i „czerwonym niebezpieczeństwie”, wyłania się brudna walka o zysk żrących się między sobą aferzystów „od ryżu”, którzy tak, jak dziś nie wahają się użyć wojennego okrętu i aparatu policyjnego, aby zapewnić dogodny eksport zrabowanego towaru, tak jutro nie zawahają się puścić w ruch maszyny wojenne, aby zrobić interesy na przelewanej krwi. „Czas już przejść od ryżu do operacji powoźniejszych” — stwierdza cynicznie Spelman. Amerykanie nie uznają uczciwości nawet w stosunku do własnej armii, którą okradają, handlując zrabowaną w jej imieniu żywnością. Z pogardą odnoszą się do swych wspólników z obozu lisymanowców, jako do ludzi niższej rasy. Jak się łączy ten rasizm z eksploatacją i gdzie tkwią jego wzory pokazuje autor dobitnie na przykładzie Murzyna Davisa, żołnierza armii amerykańskiej w Korei. W walce toczącej się przed jego oczyma staje Davis po stronie koreańskich patriotów. Człowiekowi, którego ojciec głoduje, wyzyskiwany na plantacjach, gdzieś nad Missisipi, bliższy jest koreański robotnik, niż gardzący Murzynem Spelman.

Postać In-Sen spełnia w dramacie rolę bohaterki tragicznej. Życie jej to jedno pasmo poświęceń dla sprawy; dla niej to rezygnuje nawet z szacunku bliskich, rodziców i współrodaków, gdy otoczona powszechną pogardą pracuje w lisymanowskiej policji. Na końcu dramatu In-Sen ginie. Ale autor trafnie ukazuje, że nie ginie idea, o którą walczy dziewczyna koreańska, że jej śmierć nie była śmiercią daremną, że przyczyniła się do zdecydowanej przemiany postawy politycznej jej ojca, że dalej będzie mobilizować do walki. Koreański patriot, pozytywny bohaterowie utworu, pokazani są jasno i dobitnie. Reprezentują oni w utworze nie tylko swój naród — walczą oni z polityczno - kupiecką szajką zbirów w imię najsłabszych i najbiedniejszych ludzi — w imię wolności i niepodległości wszystkich narodów świata.

*) Thai Dian Czun, Na południe od 38 równoleżnika, „Czytelnik”, 1951.

Mieczysław Ingłot

ANDRZEJ DRAWICZ

JESZCZE O „POKOLENIU”

JEZELI w ślad za Jarosławem Iwaszkiewiczem określimy dzieła literackie jako kamienie formujące dno świadomości narodowej — to wypadnie pamiętać, że tak jak te ostatnie rzucane do wody mają być powierzchnie w koncentrycznych rozchodzących się kręgach — podobnie dzieło pisarza czy poety, o ile odpowiada potrzebom swojego czasu, o ile jest rzeczywistością współczesną — wywołuje rezonans w postaci ocen, polemiki, dyskusji, oświadczeń — często ostro zarysowanych, czasem sprzecznych, a w sumie świadczących o tym, że mamy do czynienia z czymś, co wszystkich dotyczy, wszystkich obchodzi — stanowi jednostkowe potwierdzenie socjalnej tezy o literaturze jako narzędziu poznania i przekształcania świata. Wyrósł już nowy czytelnik, nowy odbiorca, spragniony literatury, która pomoże mu w rozwiązywaniu jego spraw i konfliktów, żywo reagujący zwłaszcza wtedy, gdy znajduje wśród nowych pozycji wydawniczych te, na które czekał. Do wypadki takie są wciąż jeszcze dość rzadkie o tym wiemy zbyt dobrze. Z tym większym zadowoleniem przychodzi obserwatorowi odnotować momenty pojawiania się owych „kręgów na wodzie”, wskazujących pewnie na indywidualne krytyczno-fachowe, nierzadko nie podbudowane właściwym uzasadnieniem, aplauzy, że mamy do czynienia z wydarzeniem, a nie z faktem, że zjawiskiem, a nie z jedną więcej pozycją katalogu wydawniczego.

Taką sytuację mieliśmy ostatnio dzięki „Pokołeni” Bohdana Czeskiego (*). Mówiło się i pisało o tej książce dużo i dobrze — ale chyba nie za dużo i nie za dobrze. Otrzymałmyśmy narazie obrachunek z czasami okupacji, który mógł być zasadniczą linią całkowitej zadołności. Ujrzyliśmy ów okres jako okres kształtowania się ludzi naszych dni, przedstawicieli naszego światopoglądu w okresie ich dorastania do wielkich zadań, jakie mieli podjąć wówczas, jakie mają wykonać teraz. W przeciwieństwie do tamtych — częściowo tylko prawdziwych, zawężanych naturalistycznymi obciążeniami, ujętych w autorski cudzysłów — są to rzeczywiste początki edukacji, która objęła pokolenie Stachów, Jurków, Jasiów i uczyniła z nich przyszłych budowniczych Polski Ludowej. Rola wychowawczą spełnia Polska Partia Robotnicza — jej od-

(*) Bohdan Czesko, „Pokołenie”, Czytelnik, 1951.

działanie mobilizowało w ramach Frontu Narodowego szerokie rzesze uczących Polaków do walki z najeźdźcą. To założenie ideowo-tematyczne u dało się pisarzowi na ogół bardzo trafnie zrealizować. Mówią o tym głosy czytelników, ludzi, którzy wyrażali w podobnych warunkach, przechodząc podobną ewolucję i stąd też, jak pisze jeden z nich w „Pokołeniu” „...szukają z niepokojem wyroku we własnej sprawie”. Ze wyrok jest sprawiedliwy, a jego motywacja przekonująca — dowodzi ton wypowiedzi, tych choćby, którym „Wiś” użyczyła ostatnio swoich zapłat. Rzadko zdarza mi się czytać którąś ze współczesnych powieści polskich z tak głębokim przejęciem i zainteresowaniem jak „Pokołenie” Bogdana Czeskiego — pisze Tadeusz Muras. I on i sąsiadujący z nim na szpaltach tygodnika dyskutanci. przytaczają fragmenty autentycznych — własnych lub znajomych sobie życiorysów lub doświadczeń — na dowód, że „tak właśnie było”. Padają przy tym różne zarzuty — będną jeszcze o nich mowa dalej — wypływające z gorącego, mniej lub bardziej ugruntowanego życzenia, aby książka ta stała się jak najlepszym, jak najpełniejszym obrazem tamtych dni.

Czy obraz ten jest rzeczywistością? Ambicja pisarska, zmierzająca do zrealizowania tego postulat, daje się zauważyć już w samym układzie wątków fabularnych utworu. Wkraczamy do różnych środowisk, widzimy przedstawicieli i ich reakcje wobec problemów, które nadsuwa okres okupacji. Jest w książce niewątpliwie rozmach epicki, wsparty umiejętnościami indywidualizowania każdej postaci, wielopłaszczyznowością jej naswietlenia, przebiegającą od zwięzłych, wtopionych w tekst odautorskich relacji, poprzez widzenie jednostek w pryzmacie spojrzenia innych osób, aż do najchętniej przez autora stosowanej i przeprowadzonej w sposób znamionujący „dobrą robotę” charakterystyki pośredniej. Postacie (zwłaszcza główni bohaterowie) określają się same poprzez swe czyny, reakcje, stosunki z otoczeniem — autor zaś umiejętnie dobiera takie elementy narracji, które umożliwiają czytelnikowi jak najpełniejsze konstruowanie ich wizerunku. Czy metoda taka, będąca w założeniu zaprzeczeniem wszelkiej deklaracyjności i „opatologii” wydaje wszędzie dobre rezultaty? Otóż właśnie postacie centralne — Jurek i Staszek cierpią w wyniku jej zbyt konsekwentnego sto-

sowania, na coś, co można by nazwać niedowładem ideologicznej motywacji. Ci pozytywni bohaterowie przechodzą ewolucję światopoglądową i to chyba zbyt podobną — tylko w pierwszej części utworu — do chwili w której zostają „gwardzistami”. Dalej widzimy ich w licznych „akcjach”, dowiadujemy się o organizacyjnych awansach, obserwujemy ich zachowanie — coraz mniej wszakże wiedząc o jego głębszych pobudkach. A przecież książka mówi o edukacji pokolenia! Można było, nie obawiając się deklaracyjności, spróbować sięgnąć do psychologicznych przesłanek ideowej postawy bohaterów, a nie kazać nam się jej domyślać ukazując niejako gotowe rezultaty. Jeszcze wyraźniej niedorównane, właśnie pod kątem wpływów ideowych na swych współtowarzyszy są autentyczne postacie bohaterów młodego pokolenia — Hanki Sawickiej i „Kazika” — Janka Krasickiego. Pojawiają się i odchodzą — rozczarowany czytelnik widziałby chętnie próbę oddania literackiej sprawiedliwości tym ludziom — szatanom — wie, że na taką próbę autora stać.

„W złożonej instrumentacji przedstawiającej świat człowieka radzieckiego, nie wolno używać jedynie instrumentów dętych” powiedział Ilija Erenburg. Dopowiedzmy — nie wolno ich jednak zbyt przyciszać, bo orkiestra zabrzmi fałszywie. Toteż wyknięcie tych pewnych niebezpieczeństw każe zarazem złączyć sprawy tzw. „warsztatu” z ideowym nastawieniem pisarza, i szukać ich korzeni w nieprzezwyciężonych może do końca relikwariach naturalistycznych, obciążających ongiś „Początki edukacji”. Nie chodzi tu wszak o przysłówowe „wygrzanie dziur w serze szwajcarskim” — jeśli „Pokołenie” jest mimo wszystko książką świetną, to mamy prawo życzyć autorowi, by o następnej jego pozycji mówił się, że jest świetna bez owego „mimo wszystko”. A taki jest przecież, między innymi, sens toczących się wokół sprawy „Pokołenia” dyskusji.

Pretenzje pod adresem niepełnie zadowolającej charakterystyki ideowej przedstawicieli młodego pokolenia nie sposób natomiast przenieść na grupę działaczy partyjnych. Są oni, z racji świadomego zamierzenia autorskiego wprowadzani do akcji bardziej fragmentarycznie, ale ich postawa, ich stosunek do młodych — podkreślany przez dyskutantów jako bardzo trafnie nakreślony — zarysowują nam obraz PPR-owca na miarę lat walki. Szkoda, że w dalszych partiach książki poza kapitalną sceną likwidacji

konfidenta — troskę i opiekę nad młodymi dostrzega się już mniej wyraźnie. Za to widać rezultaty — w doskonale napisanej choć kompozycyjnie może zbyt wyodrębnionej z całości partii powstania — linia podziału między walczącymi oddziałami AK i AL zarysowana jest skrótowo, ale wyraźnie i jednoznacznie.

Dalsze zagadnienia nasuwające się przy analizie utworu pozostają w związku z jego kompozycją. Wyraźne i chyba uzasadnione ramy chronologiczne były jednakże krytykowane przez część dyskutantów. Domagano się sięgnięcia bardziej w przód — ukazania bohaterów „Pokołenia” przy pracy w Odrodzonej Polsce. Sugestie łatwe do zrozumienia, młode autorowi jako dowód żywości oddźwięku i plastyczności jego bohaterów — ale zgodzić się z nimi trudno. Wszyscy wzdychamy do wielkiej epopei naszych czasów na miarę „Cichego Donu” lub „Drogi przez mekę” — co, kiedy ogrom wymagań przy realizacji takiego zadania wydaje się wciąż jeszcze przerażać sily poszczególnych twórców. Toteż nie miejmy pretenzji do Czeskiego za to, czego nie napisał — cieszymy się z tego co już jest, i pamiętajmy o tym, że autor reprezentuje w tej chwili duże możliwości i także ambicje. Resztę przyszłość pokaże.

Pretenzje dalyby się wyciągnąć, w niewielkim zresztą stopniu, z innego tytułu. Mianowicie — powieść jest jako się rzekło, wielowątkowa — stąd sprawą nie lada kunsztu staje się jej przejrzysty, logiczny układ. Zostaje to w dużym stopniu zrealizowane. Zastrzeżenia można by mieć jednak w stosunku do problemu dydaktycznego, który tylko bardzo luźno, poprzez postać Jurka łączy się z głównym nurtem utworu, następnie zaś aż do końca przebiega zupełnie niezależnie i w konsekwencji marginalnie poza właściwym biegiem wypadków. Zapewne, wzbogaca to obraz pokolenia, ale nie w tak konsekwentny sposób jak ma to miejsce gdzie indziej. Podobnie w ciepłych barwach nakreślony wątek zbliżenia Anny, Marii i Jurka — mający zapewne poszerzyć obraz o charakterystykę specyficznego typu duszyczyny, a także wydatnie pewnie niekonsekwencje ideowe Jurka — jest jakiś napoczęty i zbyt szybko zakończony. Nie skorzystawszy z rozwiązania ciekawie zapowiadającego się konfliktu między dwoma moralnościami autor wyeliminował pospiesznie „pannę z dobrego domu” poza ramy powieści. Przypomina to trochę Mikołaja z „Początków edu-

cji”, którego narrator tak długo agituje do lewicowego podziemia aż ów wstępuje... do AK. Tradycja nienajlepsza. Na drodze głębszego potraktowania tej sprawy dalyby się też może zaspokoić pretensje wysunięte przez niektórych dyskutantów o zbyt silne zżewienie bazy społecznej, z której rekrutują się bohaterowie „Pokołenia” do ludzi od początku silnie związanych z lewicą z pominięciem błędnych, obalamuconych — tych wszystkich co „doszłusowali” później. „Ale czy obalamuconą młodzież, którą Czesko tak świetnie ukazał w swej książce składa się także i z jednostek, które kiedyś spotykają się z byłymi gwardzistami? W świetle „Pokołenia” — niestety nie” — pisze na łamach „Wsi” Edmund Sas. Istotnie — pełniejsze nasświetlenie tego problemu ogromnie wzbogaciłoby treść ideową powieści, ale jego brak nie zalamuje raczej podstawowego problemu historycznego utworu.

Niesposób wreszcie pominąć tak wyraźnych zalet metody pisarskiej Czeskiego udatnie wspierających jego zamierzenia jak umiejętność stosowania różnych typów narracji, pozwalającej na pełną charakterystykę sylwetek ludzkich — jak oszczędny aż do surowości, lapidarny język, doskonale zróżnicowany w obszarze poszczególnych środowisk. Bardzo udatnie nadają element kolorytu lokalnego i nawiązania do czasu akcji krótkie, plastyczne opisy sytuacji, pełniące niejednokrotnie wyraźną rolę kompozycyjną (np. na początku poszczególnych rozdziałów).

Wszystko to — poza wymienionymi wyżej usterkami pełni swą funkcję współdziałania w realizacji założenia ideowo-tematycznego utworu. W wyniku — powstała książka „nasza”, dobra, potrzebna, książka ucząca nas dziejów okresu niedawno minionego, który przeszedł już do historii, ale którego bohaterowie żyją i pracują wśród nas. Nie samym wspomnieniem minionych lat, nie rozamiętaniem ich grozy i okrucieństwa (zauważmy, jak mało miejsca w tej książce zajmują Niemcy) poświęcone są jej karty — każda z nich każe nam wybiegać myślą w przyszłość, która stała się teraźniejszością, każe jeszcze raz wrócić pamięcią do tamtych czasów, by lepiej zrozumieć zadania stojące przed nami teraz.

Zmuszając do myślenia, prowokując wypowiedzi, wywołując dyskusje „Pokołenie” pięknie spełniło, mimo wszelkich braków, swoje zadanie.

Andrzej Drawicz

W BRZEZINACH

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Sędkowska — o, niedawno organizował dożynki w Dobrzelinie, a organizował je również w gminie, w Pieckiej Dąbrowie.

— Owszem ja i tańca nauczę i pieśni, a znam się i na poważnych rzeczach, byłem przecież przez dwa lata nauczycielem w szkole rolniczej w Sleszynie.

— Posłuchałbym tej waszej piosenki, którą żegnacie widzów — powiedziałem.

— Oczywiście, że zaśpiwamy. Od niej powinniśmy zacząć. Ustawili się w rząd na scenie. Soltyś znalazł się przy swej pięknej żonie, wielki Sławek Mirowski objął młodszą Jadvinę. Lyżoninę, która sięgała mu ledwie ramienia — i poczęli śpiewać. Nuta piosenki naśladowała rytmy walca, sens jej był przejrzysty, chodziło o wytłumaczenie idei sztuki, nie byłym nią jednak podbiły, jak owymi komicznymi scenami, zagranymi ze swobodą, z wielkim temperamentem przed chwilą.

Lukasik podchodził do mnie onieśmielony.

— No i jak pan widzi ten wiersz? Więc się nie podobał?

— Nie o to idzie.

— A o co?

— Widzi pan — zastanawiałem się — ja bym wolał aby pan wykorzystał swoje zdolności wierszopiskarskie w bardziej zdecydowanym kierunku. Na przykład, gdy stworzyli w świetlicy gazetkę ścienną, pisalby pan cięte, jak to pan potrafi, utwory o życiu w gromadzie, w gminie, atakował, ośmieszał opieszałą i wroga.

— Myśliszmy o takich wierszach, mówiących o naszej walce o pokój — wtęził się do rozmowy soltyś.

— Można, na pewno spróbuję — bąkał Lukasik — niech pan powie, więc tamto, tamto jest jednak źle napisane?

— Zarecytuję pan pierwszą strofkę.

„Zakończył się już teatr nasz

Tej sztuki sprzed stu lat.

Ze rozpogodził waszą twarz,

Każdy z nas szczerze rad...”

— począł tylko mówić Lukasik, głos jego mimo woli przechodził w nucię. Płynęły zwrotki, jedne zgrabne, drugie chropawe, zastanowiła mnie jedna z nich, która choć nieporadna, zwiastowała to, o czym myślałem, mówiąc o gazetce ścienną w świetlicy.

„Bo było tak,

Ze bogactw, pan, rozkoszne życie

wiodł

A lud do ciężkiej pracy gnan

Z nędzy i głodu chodł...”

— Nie, głowa do góry, panie Lukasik — zawolałem — stanowczo powinien pan zwrócić swą uwagę na gazetkę ścienną. Tam dopiero praca pa-na znajdzie się na właściwym miejscu...

III

Zanocowałem u Sędkowskich. Młodzi odstąpili mnie swoje łóżko, poszli do teściów, więc nie uciszywszy jeszcze po rozmowach rozpalonej głowy, rozbiierałem się powoli, gotowałem się do spania.

Nałtowa lampa niepełnie oświetlała dużą, głęboką izbę. Kot chodził po podłozie, cienie raz po raz ploszyły się, wybiegały na ścianę, gdy tylko gospodarze kierowali się po piecykowi czy drzwiom.

Oni kładli się już spać, a ja przykułony pod świeżo obłożoną pierzyną, przyciskałem głowę do poduszki i myślałem o przeżytych dniach pełnym doświadczeń i natłoku faktów. „W samej rzeczy — szeptałem — jest wiele pocieszającego w tych Brzezinach. Choćby ten zryw gromady jesienią przy składce na świetlicę, choćby ta piękna niecierpliwość, by zdziałać jak najwięcej, by nadrobić zaniedbania poprzednich lat. Ludzi zdolnych im nie brakuje. Na przykład Lukasik. Człowiek to obdarowany przez naturę naprawdę. No a ci, młodzi, to młode pokolenie inteligentów chłopiejskich wyrosłych już po wojnie, aktywistów ZMP, soltys i jego żona Zosia, Władek Wójcik.

Lukasik? No, tak, na niego za bardzo liczyć nie można, te 10 hektarów, które posiada, staną na jego drodze, nie pozwoli mu zerwać z dawnym szczerze, bezkompromisowo. Chociaż, chociaż, a może się mylę... Ma czworo dzieci, żonę, dwoje starszych ojców, sam haruje od rana do wieczora, chce i zainteresowania ciągnąć go w inną stronę!

Światło zgasiło. Starzy zamilkli, nasłuchiwaliby jakby w ciszy.

— Gładzi wciąż świecą?

— Świecą — uspokoiła męża Sędkowska.

Słuchałem ich słów jak w półśnie, nie otwierając oczu myślałem na odmianę teraz o swojej młodości — o ciężkim życiu chłopiejskim w latach dzieśiątych i dwudziestych.

Jak pięknie będą teraz żyć ci młodzi w nowej socjalistycznej wsi! Kina, chóry, biblioteki — wszystko pod ręką. Było tylko wola była, było chęć nauki! Możliwość wybiecia się, zrealizowania marzeń istnieje wprost obłężyma...

A kiedyś? Ciężko było, upadało się od rozpacz, od biedy, od upokorzenia. Gdzie książkę można było znaleźć, gdzie odszukać ludzi, którzy mieliby zrozumienie dla zapalczywych planów i marzeń biednego dziecka chłopiejskiego? Pisałem tak o tych czasach...

„Zamarznię drogi, śnieg kosi ostatnie liście, a ja za książką bosy w noc idę, bo i w śnie czekam na los...”

przysięgałem.

Jakże pragnęło się innego życia, życia owianego wesołym, radością, nadzieją, pozbawionego elementów krzywdy i pożałowania. I oto przyszło, przyszedł! Na razie paczkuję, ale jest, ale rozwija się — przed nim nieogarniona przyszłość!

Janusz Pelc

Stanisław Pięta

JANUSZ PELC

O ROBOTNIKACH I DYREKTORZE FABRYKI W PIASKACH

OSTATNIA powieść Aleksandra Jackiewicza „Penicylina” porusza zagadnienie z zakresu tematyki produkcyjnej. Temat powieści — walka zalogi fabryki farmaceutycznej w Piaskach pod Warszawą, najpierw o ochronę fabryki przed niszczytelką ręką faszystów hitlerowskich, cojąłych się pod naporem Armii Czerwonej, potem po wyzwoleniu, o uruchomienie fabryki, wreszcie, w fazie ostatniej, o rozpoczęcie krajowej produkcji penicyliny — nawiązuje do zagadnień kilkakrotnie już poruszanych w powojennej powieści polskiej. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić takie pozycje jak „Fundamenty” Pytlakowskiego, „Nr 16 produkcyjny” Wilczka, „Na przykład Plewa” Hamery czy „Mirków ruszył” Zesławskiego. Jackiewicz mógł się więc oprzeć na dość bogatym zasobie doświadczeń swych poprzedników.

Pierwszy rozdział powieści Jackiewicza zbliżony jest tematycznie do prologu „Fundamentów” Pytlakowskiego. Jackiewicz uniknął tu wielu błędów książki Pytlakowskiego. Szerzej i pełniej ukazał świadomą walkę robotników w obronie własności narodu. Czujniej niż Pytlakowski obserwuje żołnierzy niemieckich; SS-mannom i oficerowi — pruskiemu junkrowi przeciwstawia żołnierza Wehrmachtu — ślusarza, który stoi wyraźnie po stronie kolektywów robotników fabrycznych walczących przeciw grabież i wandalizmowi faszystów. Niewątpliwym osiągnięciem Jackiewicza jest zarysowanie momentu wyzwolenia, dokonanego z udziałem miejscowych robotników. Stary, przedwojenny działacz robotniczy — Zagórny, uczestnik walk w Hiszpanii — Suchy i młody robotnik, członek A. L. — Weciorzek stają ramię przy ramieniu ze swymi wyzwolicielami.

Zadanie uruchomienia fabryki, stojące przed kolektywem robotniczym po wyzwoleniu Jackiewicz ujmuję na płaszczyźnie starcia robotniczego entuzjazmu, zapалу do pracy z inteligentką niewiarą w siły ludu. Mimo skróconego ujęcia toku wydarzeń pierwsza część powieści odznacza się dużą dozą realizmu. Postacie — mimo, że często tylko naszkicowane — potrafią udzielić ładunek problemów istotnych i typowych, którymi obarczył je autor. Jackiewicz głębiej i sugestywniej niż jego poprzednicy pokazał, że w głębinach naszej re-

wolucji burzyła się potężna fala ludowego entuzjazmu, która dźwignęła kraj z gruzów i stworzyła nowe życie. Jednocześnie zaś w większym stopniu, niż dotychczasowe próby w zakresie „powieści produkcyjnej” przełamał „papierowość” bohaterów, zbliżył nas do ich codziennego życia, a z drugiej strony osiągnął i to, że realizm szczegółów nie zakłóca nigdzie realizmu problemów. Dzięki temu obraz, choć niewykończony, są sugestywny, czyta się go z pełnym zainteresowaniem.

Decydującym dla przyszłości fabryki momentem staje się objęcie stanowiska dyrektora przez inż. Seydę, reemigranta z zachodu, doskonałego fachowca — chemika. W chwili przybycia Seydy fabryka jest terenem walki o wychowanie nowego człowieka, świadomego w pełni pracownika i gospodarza swego zakładu pracy.

Problem wroga, którego trzeba zdemaskować, by dać robotnikom lekcję czujności klasowej i wydrzeć słabszych spod wrogich wpływów został pomysłany mniej banalnie niż to miało miejsce w większości dotychczasowych powieści tego typu. Kotowicz, kierownik aprowizacji w fabryce, prowadzący subtelny sabotaż w sprawach stołowych jest jednak groźniejszy wskutek swych poczynań na innym terenie. Mało zarabiający robotnicy znajdują w godzinach popołudniowych dodatkową pracę w jego (t. j. „jego żony”) fabryczce na Pradze. Prowadzi to nie tylko do bumelantstwa i lekceważenia spraw fabryki. Uprowadzając grzeszników, placący lepiej niż fabryka państwową, Kotowicz usiłuje wytworzyć mit „dobrego przedsiębiorcy”, zaciemnia świadomość klasową grupy robotników, ulegających pojęciom drobnomieszczaństwa, tworzy sobie silne stronictwo na terenie fabryki. Niestety ten pomysł ciekawy i nasuwający możliwości interesujących literacko rozwiązań został przez pisarza nie rozwinięty, załatwiony przy pomocy relacji bohaterów głównie i wykorzystany tylko dla kilku banalnych ujęć, nieudolność zaś walki z Kotowiczem kompromituje organizację partijną fabryki w Piaskach.

Lepiej niewątpliwie ukazana została troska kolektywu robotniczego o nowe kadry, przejawiająca się w dążeniu do stworzenia przy fabryce szkoły zawodowej dla młodzieży i kursów dokształcających dla robotników. Atmosfera moralna, którą wprowadza kolektyw potrafi dźwignąć

bliskich wykołajenia ludzi, jak to wskazuje sprawa Misiaka.

Wszystkie jednak te sprawy usuwa w cień problem ewolucji ideowej Seydy. Jest to niewątpliwie zjawisko typowe dla przemiany wewnętrznej najlepszych przedstawicieli dawnej intelligencji polskiej, etapy jej w wielu wypadkach są ujęte słusznie i ciekawie. Jednakże maszynowa sylwetka dyrektora przesłania w ostatniej części powieści inne zagadnienia fabryki. O ile do przybycia Seydy mamy powieść o robotniczej zalodzie fabryki w Piaskach, to od momentu objęcia przezeń stanowiska dyrektora głównym problemem powieści staje się ewolucja pozytywnego reprezentanta inteligencji. Mimo to gruntu odmiennych założeń autor popadł tu w błędy popełnione przez Wilczka w „Nr 16 produkcyjny”. I tu i tam fabryka, robotnicy są pokazani przede wszystkim przez pryzmat losów dyrektora.

W drugiej części „Penicyliny” postać robotników bledną, stają się dwuwymiarowe i niedorównane, ale postać energicznego, zdolnego wybitnego dyrektora otrzymuje pewne pogłębienie psychologiczne, skupia na sobie uwagę pisarza i czytelnika. Błąd artystyczny — papierowości postaci robotników jest uwarunkowany błędem ideologicznym — scentralizowaniem uwagi w powieści o fabryce na wybitnej indywidualności dyrektora, który staje się głównym bohaterem.

Jeśli już mowa o niedociągnięciach artystycznych warto zwrócić uwagę na bardzo poważną skazę, jaką jest brak kompozycyjnego powiązania między pierwszą a drugą częścią powieści, które wprawdzie wcale nie są rozdzielone przez autora, lecz nawet mimo to bardzo wyraźnie i zbyt silnie odcinają się od siebie. Stąd m. in. zarzucenie historii rodziny Weciorzków, ukazanej na pierwszym planie w pierwszej części powieści. A szkoda, gdyż problemy życia rodziny robotniczej, historia wyrastania Magdy Weciorkowej na produkującą robotniczkę fabryki to istotna część spraw kolektywu w Piaskach.

Poważnym problemem jest sprawa pokazania organizacji partyjnej w powieści. I tu musimy sobie powiedzieć iż Jackiewicz nie wyszedł wcale poza błędy poprzedników. Rola organizacji partyjnej w powieści jest marginalna, słaba, jej działalność ukrywa się gdzieś za sceną, dowiadujemy się o niej z komentarza autorskiego, relacji bohaterów, ewentu-

alnie widzimy udział aktywu partyjnego w zebraniach rady zakładowej. Próby pokazania roboty partyjnej na codzień są nieliczne i w większości wypadków pozbawione należytej wymowy.

Podobnie ze sprawą inicjatywy w produkcji. Początkowo znajduje się ona całkowicie w rękach robotników, ale z przybyciem Seydy wyraźnie przechodzi w jego ręce. Wprawdzie pierwszy projekt produkcji penicyliny rodzi się w głowach robotników, ale spójrzmy na realizację. Tu naprawdę trzeba by się bardzo zastanowić czy Seyda realizuje projekt robotników, czy też może organizacja partyjna pomaga Seydzie w realizacji jego osobistych planów.

Z kwestią typowości wiąże się jeszcze jedna sprawa, sprawa współzawodnictwa. Ostatni etap powieści odbywa się jesienią 1948 i wiosną 1949 r., a więc na długo po apelu Pstrowskiego, kiedy już fala współzawodnictwa dotarła do różnych zakątków kraju. W Piaskach mamy sytuację bardzo dogodną i jak gdyby specjalnie przygotowaną na wprowadzenie współzawodnictwa. Oto UNRRA odmówiło dostaw maszyn do produkcji penicyliny. Dyr. Seyda zobowiązał się wobec władz, że produkcja penicyliny, mimo to, rozpocznie się w ustalonym terminie i właśnie referuje sprawę zobowiązania robotnikom. Czytelnik przygotowany jest, iż za chwilę dyrektor skoczy i przemówi zalogą, że pospłaja się zobowiązania. Tymczasem skończyło się tylko na poleceniu dyrektora, robotnicy polecenie wykonali, współzawodnictwa jak nie było tak nie było.

W powieści Jackiewicza z przybyciem Seydy następuje widoczne zalamanie realizmu. Wydaje się, że postać Seydy miała być tym reflektorem, który ukazywałby doniosłość istnienia kolektywu robotniczego i jego rolę w życiu fabryki. Autor pokusił się o stworzenie tego inteligentnego medium głównie zdaje się w tym celu, aby uprawdopodobnić jego zachowywanie komentarzami rolę swych bohaterów robotniczych. A sprawa ta rozpadła się w toku realizacji. Typowa, na ogół, historia przemian pozytywnego inteligenta, historia „wychowywania sobie dyrektora” przez aktywny robotniczy przerosła inne, istotniejsze dużo sprawy, postać Seydy przesłoniła całą fabrykę.

Powróćmy teraz do pytania postawionego na początku. Czy autor nauczył się czegoś na błędach poprzedników? Myślę, że zbyt mało zwłaszcza

EDMUND KŁOCZEWSKI

O właściwą rolę inwestycji w rolnictwie

Polska Rzeczpospolita Ludowa przeznacza ogromne kwoty na inwestycje w rolnictwie, a zwłaszcza w PGR. Tempo procesów inwestycyjnych począwszy od roku 1949 stale wzrasta, a jednocześnie w charakterze inwestycji zachodzą istotne przeobrażenia. Jeśli bowiem w pierwszych latach powojennych nakłady w rolnictwie szły nade wszystko na likwidowanie ran i szkód zadanych gospodarstwu przez wojnę, to obecnie — zwłaszcza w tych rejonach, gdzie zniszczeń wojennych było mniej, nakłady inwestycyjne mają za cel stałą intensyfikację i mechanizację produkcji, słowem, rzemień zaczynają odbicie rolnictwa na nową socjalistyczną modłę. Oczywiście, zadanie takie nie jest bynajmniej łatwe, jeśli zważy się skomplikowany spój zagadnień ekonomiczno-przyrodniczych, które w każdym gospodarstwie z osobna rozwiązać należy, chcąc mu wytknąć najwłaściwszy kierunek rozwoju i ściśle z nim związany plan inwestycji. Oczywiście planowanie musi być jak najbardziej oddolne i nie gdzieś indziej jak tu na dole winna nastąpić racjonalna synteza realnych możliwości i potrzeb gospodarstwa z wytycznymi kierunkowymi Państwa. Nie można jednak zamknąć oczu na pewne niebezpieczeństwa związane z konstruowaniem planu inwestycji oddolnie, bo właśnie na tym odcinku niezmiernie jest łatwo ulec wpływom lokalnych zwyczajów lub indywidualnych zamiłowań nie zawsze zgodnych z interesem publicznym. Historia inwestycji dokonywanych dawniej w przodującej na odcinku rolnictwa Wielkopolsce daje nam sporo materiału tego rodzaju niebezpieczeństw.

W latach między wojną francusko-niemiecką 1870 roku a pierwszą wojną światową — rolnictwo w b. zaborze pruskim znalazło się w koniunkturalnym szczególnie pomyślnym, do intensyfikacji produkcji oraz do wznieścia okazałych budowli gospodarskich i urządzeń melioracyjnych. Z tego okresu datuje się osiągnięcie przez wielkopolską polską poziomach — europejskiego w odróżnieniu od pozostałych dzielnic Polski. Dzięki wysokim cenom za plody rolne oraz taniemu kredytowi bankowemu duże nakłady na budownictwo wytrzymywały, jak to się mówi, rachunek, choć i w owych czasach zdarzały się wypadki, że bez oświadczenia projektowane inwestycje doprowadzały poszczególnych właścicieli gospodarki rolnych do bankructwa. Niebezpieczeństwo zbyt pochopnie przedsięwziętych inwestycji wyszło w pełni na jaw dopiero w okresie cięższych kryzysów gospodarczych, które paraliżowały życie i produkcję w czasie od 1918 do 1939 roku.

Każda budowla czy urządzenie wymaga poważnych środków pieniężnych na konserwację, większe i mniejsze remonty, wreszcie na raty amortyzacyjne. Z chwilą, gdy dochód gospodarstwa nie odpowiada swą wysokością kosztom utrzymania kapitału budowlanego, rodzi się musza w gospodarce prywatnej trudności pieniężne i krachy.

Dotkliwsze z pewnością były i dotąd są skutki owego pedu w kierunku drenażowania wszystkich niżej położonych gleb w Wielkopolsce przed rokiem 1914. Ulegając wpływowi chwilowej dobrej koniunktury na zboże i okopowe oraz namowom licznych prywatnych biur melioracyjnych, folwarki i wsie wielkopolskie drenaowały nie tylko wilgotniejsze pola orne, ale też pastwiska i łąki, zamieniając je na ziemie orne. Skutkiem tego wystąpiło poważne obniżenie poziomu wód gruntowych w Wielkopolsce i przy dość słabym na lżejszych ziemiach podciąganiu wody wzwyż ku glebie ornej — spęgała się wrażliwość planów na dłuższe i krótsze posuszy. Z drugiej strony utrudniona została rozbudowa należytą bazy paszowej na wilgotniejszych częściach terenu przez zakładanie tam płodozmianów połowolno-łąkowych — pastwiskowych, a w konsekwencji tego trzeba obecnie nierzadko droższymi sposobami zdobywać paszę dla szybko wzrastającego pogłowia zwierząt.

Gdyby państwo ludowe oddało bez żadnych zastrzeżeń w ręce terenu: kierowników gospodarstw i załóg robotniczych PGR ster w dowolnym projektowaniu inwestycji, niewątpliwie podobne błędy, jak z okresu kapitalizmu ujawniłyby się w dość szerokim zakresie, jeśli zważyć, że w powiecie wielu osób pieniądze państwowe czerpać można dowolnie bez obawy ich wyczerpania. Rzecz jasna, że nierentowne inwestycje nie spowodują bankructwa państwa, opóźnią jednak mogłyby procesy reprodukcji socjalistycznej, hamować postęp i mechanizację przez skierowanie uwagi z rzeczy dla państwa pierwszoplanowych na trzecio-lub czwartoplanowe.

Rzecz jasna, że rozumiałam jest w tych warunkach zastosowanie przez państwo pewnych hamulców i ograniczeń nadmiernych zapędów inwestycyjnych — poprzez precyzowanie bardzo ścisłych zadań rzeczowych i surowo przestrzegania stabilizacji planu inwestycyjnego. Ta sztywność form, którą teraz niesłusznie chrzci się czasem mianem biurokracji, jest, jak wynika z groźnych skutków złych inwestycji, konieczna. Sztywność ta zresztą zarówno w planowaniu terenowym jak i w centralnym — łagodzi słusznie obmyślane oddolne pla-

ny inwestycji po ich należytych zanalizowaniu i zatwierdzeniu.

Jak teren winien planować inwestycje, aby być w zgodzie z prawami ekonomii i wytycznymi państwa?

W gospodarce socjalistycznej zasady planowania inwestycji skrytykowane są jasno. Zgodnie z nimi należy:

a) rozważać wszechstronne skutki i zaspokajania, jakie spowoduje każdy nakład inwestycyjny. Najprostszym przykładem nie stawiać obory tam, gdzie baza pastwiska nie jest i nie może być należycie rozbudowana;

b) projektować wyłącznie takie inwestycje, których potrzeba wynika nieodparcie z planów gospodarczych rocznych i wieloletnich. Należy przy tym wyczerpać wszystkie środki w ramach planu do zapewnienia jego wykonania i dopiero po stwierdzeniu konkretnych trudności w postaci „waskich gardeł” uciekać się do pomocy inwestycji. Radykalnie więc wyrzucić się należy postawy wyczekiwania na deszcz róż inwestycyjnych, który by dźwignął nasze warsztaty, lecz w pierwszym rzędzie liczyć na własne siły i środki;

c) umiejętnie znajdować złoty środek między prawem koncentracji nakładów inwestycyjnych na zagadnienia centralne np. mechanizację rolnictwa a prawem szerokiej rejonizacji nakładów mającej na celu ożywienie gospodarstwa wszystkich najdalejzych i „zabitych deskami kątów”, z których każdy na swój właściwy sposób winien być wciągany do pełnej służby społeczeństwu;

d) jak najdalej idącą oszczędność przy planowaniu projektów technicznych inwestycji i przy ich realizacji. Zwierzęta domowe np. nie wymagają bynajmniej pałaców i luksusów budowlanych, wystarczy im możliwe tanim sposobem zapewnić pomieszczenia suche, ciepłe, widne, dużo powietrza i ruchu;

e) każda inwestycja musi być rentowna tj. w możliwie krótkim czasie nakład pieniężny winien być zwrócony państwu w postaci zwiększonej produkcji;

f) wreszcie każda inwestycja winna bezwzględnie uruchamiać jakąś rezerwę, tj. czy inną możliwość szybkiego wzrostu produkcji i na ten remont radziłbym zwrócić uwagę najbardziej, zwłaszcza obecnie w dobie wysiłków, mających na celu przyspieszenie rozwoju rolnictwa.

Przykładem, w jaki sposób przy pomocy drobnych stosunkowo inwestycji można niesłychanie silnie zwiększyć produkcję globalną i „towarową”, jeśli jednocześnie „przeorganizować i doskonalić własnymi środkami bieg gospodarstwa — są dane odnoszące się do sochocho „Lesnyje Polany”, założonego jeszcze w r. 1922

pod Moskwą, jako obiekt doświadczalny, którym żywo interesował się sam Lenin.

Kolchoz ten, od początku specjalizowany w kierunku produkcji mleka, tuczników i warzyw dla stolicy, osiągnął już przed wojną wspaniały rozkwit, jednakże podczas wojny został kompletnie zdewastowany. W latach 1946 do 1950 nastąpiła tak wspaniała odbudowa i rozbudowa „Lesnych Polan” przy użyciu stosunkowo drobnych środków inwestycyjnych, że warto się z nią bliżej zapoznać.

Wybudowano w „Lesnych Polanach” w tym czasie: 1) chlewnię macior, 2) cielętnik, 3) niedużą stajnię, 4) spichrz, 5) szopę. Licząc wg naszych aktualnych kosztorysów wydano na te budynki nie więcej niż 1 milion złotych, a że koszt ich stanowił 43 proc. nakładów inwestycyjnych lat 1946-50, więc cały limit tych lat przyjąć możemy w przybliżeniu na 2,3 miliona zł., co na kilkaset hektarów i zniszczony obiekt jest oczywiście b. mało. Poza budownictwem z limitu inwestycyjnego zużyto na mechanizację 16 proc. czyli ok. 370 tys. zł., na zakup zwierząt elitarnych 37 proc. czyli 850 tys. zł., wreszcie na melioracje 4 proc. czyli 92 tys. zł.

A teraz wyniki produkcyjne. Osiągnięte w roku 1950 przy 1946 = 100%:

	Ogółem 1950	1946
mleko	140	
trzęda	500	
ziemiaki i warzywa	102	
owoce	260	
paszka	270	

Na 1 robotnika wskaźniki produkcyjne:	1940	1950
mleko	37	43
mięso (żywiec)	73	162
siano	17,8	43,5
zielenki	91	106

Wartość produkcji wzrosła od roku 1932 do 1940 o 25 proc., w 5-leciu 1946-50, jak widzimy, blisko 3-krotnie, bo o 65,6 proc. Przy tym towarowość w poszczególnych gałęziach dochodziła do 91 proc. produkcji.

Osiągnięciom tym towarzyszyło zwiększenie mechanizacji robót: na 1 pracownika ilość energii elektr. i w silnikach spalinyowych wzrosła o 70 proc., połowa robót polowych wykonywana jest przy napędzie elektrycznym. Pogłowie zwierząt wyniosło w roku 1946 — 74 na 100 ha użytków rolnych, a 89 w r. 1950, analogicznie 63 i 79. Produkcja obornika w r. 1946 — 4270 ton, w r. 1950 — 5568 ton. Produkcja pasz (głównie siana) wzrosła od 1946 do 1950 o 70 proc.

Jest rzeczą jasną, że wszystkie powyższe zdumiewające osiągnięcia nie są wynikiem tylko inwestycji. Przeobrażenia wewnętrzne gospodarstwa w „Lesnych Polanach” dokonało się przez uruchomienie ukrytych rezerw rolniczych i hodowlanych. Na czele tych przeobrażeń stoi wprowadzenie w latach 1946-8 systemu trawopolnego w całej jego rozciągłości i z zachowaniem najnowszych wskazówek agrotechniki.

I oto w oparciu o uprawę mieszanek kończyn z trawami i płodozmianach polowych i pastwiskach produkcyja pasz wzrosła od r. 1946 do 1950 o 70 proc., a jednocześnie obszar obsiany wszystkimi roślinami pastwennymi kurczy się o około 5 proc. Dla rolnika i organizatora gospodarstwa jest jasne, że tu właśnie leży „gwóździ” powodzenia sochocho „Lesnyje Polany”. Dobór właściwych płodozmianów, lepsza agrotechnika, uprawa najwłaściwszych na terenie roślin — silny wzrost nawożenia — oto tajemnica efektów produkcji i towarowości w zakresie odstaw mleka i żywca, obok naturalnie prac hodowlanych i inwestycji zmierzających do poprawy jakościowej pogłowia.

A drugi efekt godny zazdrości — to postępy mechanizacji przy nikłych nakładach inwestycyjnych na zakup inwentarza martwego. Jaka dbałość musiała tam być o sprzęt posiadany, jak sprawnie działały warsztaty naprawcze, ile urządzeń mechanizacyjnych musiano tam sporządzić we własnym zakresie i jak umiejętnie musieli eksploatować robotnicy każdą maszynę — wszystko to jasno czytać można między wierszami suchych zestawień.

W wielu naszych PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych środki inwestycyjne na 100 ha były w latach 1946-50 na pewno wyższe niż w „Lesnych Polanach”, a efekty produkcyjne o wiele skromniejsze. Przyczyną tego jest brak odpowiednich płodozmianów, chaotyczność zasiewów, walenie się tu i ówdzie nie porępowanych ciągników i maszyn w pokrzywach, nie wspominając niską do wzrostu pogłowia zwierząt rozbudowa bazy paszowej. Dopóki te rzeczy nie zostaną naprawione i dopóki wszystkie brygady polowe i hodowlane nie wygrały decydującej walki o wyższe efekty produkcyjne doład limitu na inwestycje w pełni racjonalnie wykorzystane być nie mogą.

Uruchomienie rezerw produkcyjnych we własnym zakresie, a dopiero na kanwie tego inwestycje, oto co winno się stać, w tym czasie, przy planowaniu inwestycji w najbliższych latach. Warto o tym pamiętać w obecnym okresie wiosennym wstępnego projektu Planu Inwestycyjnego na rok 1953.

Edmund Kłoczewski

CZESŁAW JURKOWSKI

Powiat zamojski uruchamia rezerwy rolnicze



Foto CAF

W naszym powiecie nastąpił już poważny przełom w uprawach polowych. Intensywne nawożenie, mechaniczna uprawa roli, siew rzędowy, stosowanie nawozów sztucznych, energiczna walka z chwastami itp. ogromnie w porównaniu sprzed wojny zwiększyły plony z hektara.

O wiele gorzej było do niedawna z łąkami; zaniedbanie łąk i pastwisk wlokło się za nami jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy to w całym powiecie zamojskim było zaledwie 80 ha ornych i w całości zagospodarowanych łąk.

W Polsce Ludowej przystąpił do energicznej do tej sprawy. Z 4900 ha łąk w dolinie rzeki Łabunki i jej dopływów Topolnicy zmeliorowano 4300 ha (z tego zaopatrzone w urządzenia nawadniające — 4 3/4 i 60 michów — 3200 ha, a zagospodarowane w całości — 3000 ha).

Z 1000 ha łąk w dolinie Czarnej Potoku zmeliorowano i zaopatrzone w urządzenia nawadniające 600 ha, zagospodarowano 300 ha.

Z 500 ha łąk w dolinie Farenisu zmeliorowano wszystko, zagospodarowano w całości dopiero 350 ha.

Dzięki temu i zbory siana ogromnie wzrosły. W roku 1951, gdy w całej niemal Polsce zbory siana wypadły nieszczerze, u nas było zupełnie inaczej. Tak np. we wsi Łabunki, gm. Łabunie ob. Pawliszów Stanisław posiadający 4,5 ha (w tym 1 ha łąki) zebrał w trzech pokosach — 110 q. Ob. Prokop Stanisław (5 ha w tym 0,8 ha łąki) — 66 q. ob. Krukowski z wsi Jatutów (6 ha w tym 1,2 ha łąki) — 120 q. ob. Salach Wojciech z wsi Lipsko, gm. Mokre (2,90 ha w tym 0,5 ha łąki) — 55 q. itd. A przed zmeliorowaniem i zagos-

podarowaniem łąki tych gospodarzy dawały zaledwie od 15 do 20 q. lichego siana z ha.

Doskonały interes zrobiło 90 małych i średnich chłopów ze wsi Barczachów. Założyli bowiem na jesieni 1950 r. w ramach akcji likwidacji odlogów zespół uprawowy i wspólnym wysiłkiem przy pomocy POM-u, który im wypożyczył traktor „Staliniec” z plugiem łąkowym zaorali, nawieźli i obsieli trawami szlachetnymi — 40 ha odlogów w swej gminie. W roku 1951 zebrał z tego obszaru 1600 q. siana, co im umożliwiło polowanie ilości krow, dla których nie brak im dziś paszy.

Prace melioracyjne w pow. zamojskim wspiera państwo ludowe, dostarczając bezpłatnie nasion, i udzielając kredytów na zakup nawozów sztucznych.

Dzięki tej akcji podniosła się znacznie dochodowość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich. Bo miłoś, że powiat nasz ma jeszcze o 10,5 tysiąca krow mniej niż przed wojną, ogromnie wzrosła w porównaniu sprzed wojny i globalna i towarowa produkcja mleka w naszym powiecie.

Towarowa produkcja mleka w pow. zamojskim

Ilość w tys. litr.	Wart. w zł. bież.
1937	3195
1938	3996
1948	1255
1949	2217
1950	3153
1951	4887

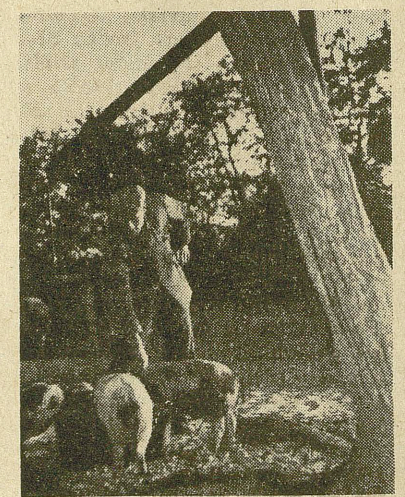


Foto CAF

Ale nie poprzestaniemy na tym. Chcemy do końca Planu 6-letniego podnieść towarową produkcję mleka

w naszym powiecie do 12.125 tys. litrów, to jest trzykrotnie w por. z r. 1951, a blisko czterokrotnie w por. sprzed wojny a globalną produkcję mleka do blisko 27 mil. litrów.

Nasz plan jest zupełnie realny, a opiera się: a) o meliorację 1250 ha (z czego 300 już zmeliorowanych,



Foto CAF

ale — bez urządzeń nawadniających) w dolinie rzeki Gorajki oraz 950 ha w dolinie rzeki Por (w trakcie melioracji) — na obszarze gmin: Szczepieszyn, Zwierzyniec, Sulów, Radeczka; b) o meliorację 2000 ha (z czego 150 ha już zmeliorowanych) w dolinie górnej Wieprza w gminach Krasnybród i Suchowola; c) o zagospodarowanie w całości przed podjęciem i nawożenie łąk poprzednio już zmeliorowanych.

Mało i średniorolni chłopów widząc jakie korzyści odnosi państwo i oni sami z akcji melioracyjnej masowo korzystają z kredytów państwowych na ten cel i nie szczędzą pracy, aby uporządkować wszystkie łąki i pastwiska na terenie powiatu. O postawie chłopów pracujących naszego powiatu wypowiedział się fakt, że w kapryśnym i mroźnym miesiącu marcu rb. przyszł ochniczo z wielką pomocą państwowej służbie wodnej przy wyrębianiu lodu z michów i ochronie przed zniszczeniem urządzeń nawadniających.

Co możliwe jest u nas, to na pewno możliwe jest i w innych powiatach i jesteśmy pewni, że wiele powiatów pójdzie za naszym przykładem.

Czesław Jurkowski

Z prasy radzieckiej

O satyrze radzieckiej

Wśród utworów, objętych ostatnio Nagrodami Stalinowskimi, brak satyry. Zwłaszcza to uwagę krytyka radziecka, „Prawda” i „Literaturnaja Gazieta” słusznie biją na alarm i nawołują pisarzy zarówno do wydatniejszego zajęcia się gatunkiem satyry, jak i do podniesienia jakości już istniejących osiągnięć.

Satyra — to bojowy oręż w walce proletariatu. Posługiwali się nim klasyści marksizmu, stosowała go z powodzeniem literatura radziecka ostatnich lat. Czy obecnie gatunek satyry zamiera? Czy satyra nie widzi obiektów i postaci godnych swej uwagi? Tak nie jest; jednakże daje się zauważyć zwężenie zakresu tematyki i spadek jakości obecnej satyry w porównaniu z dużymi dotychczasowymi osiągnięciami. Krytyka zdawajacuzność i podejmuje dyskusje, które niewątpliwie pomogą satyrykom w dalszych sukcesach i podniosą jeszcze bardziej wartość artystyczną tego gatunku literackiego.

Pierwsze aktualne zagadnienie, to kierunek uderzenia. Jaki charakter powinien znamiennować satyrę radziecką w odróżnieniu od satyry burżuazyjnej?

Będąc częścią literatury radzieckiej, służącej sprawie proletariatu, satyra radziecka realizuje te same bojowe cele: walczy ze światem imperializmu, z przeżytkami przeszłości kapitalistycznej w świadomości obywateli ZSRR. Ale na każdym etapie historycznym ta zasadnicza linia generalna nasyca się cechami szczególnymi, konkretnymi, ściśle odpowiadającymi aktualnym zadaniom politycznym. Gdy pisarze świata imperializmu służą kultowi rozrywki, odciągając masy od poznania rzeczywistości, ludzkie i nierozumne sytuacje, satyra radziecka jest satyrą walczącą, wychowawczą, uderza z pozycji klasy robotniczej. Z tego wywodzi się jej realizm, charakter klasowy i humanistyczny. Satyra ta walczy o człowieka, chce go widzieć innym, lepszym.

Taka walcząca humanistyczna, rewolucyjna i klasowa satyra ma za sobą olbrzymie zaplecze. Posiada oparcie i w dziełach klasyków marksizmu i w utworach znakomych pisarzy rosyjskich. W walce z przeciwnikami politycznymi satyrę posługiwali się: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Marks pisał: „Ostatnią fazę historycznej formacji stanowi komedia. Bogowie Grecji, którzy już raz otrzymali tragiczne śmiertelne rany w „Prometeuszu skazanym” Ajschylasa, musieli powtórnie umierać komizmie w „Rozmowach” Lukiana. Dlaczego w ten właśnie sposób odbywa się rozwój historii? Żeby ludzkość rozstała się ze swoją przeszłością ze śmiechem”.

W świetle tych słów Marksa satyra staje się narzędziem burzenia starego świata. Rezygnuje z wyłączonej rozrywki. Dopomaga powstawaniu nowego, lepszego. Hercen pisał: „Śmiech, to jedna z najsilniejszych broni przeciw wszystkim, co się przeżyło, ale jeszcze utrzymuje się przy życiu nie wiadomo dlaczego; trwa, jako znakomita ruina, przeszkadza świeżemu życiu rosnąć a słabych ludzi straszy”. Wielej satyrycy rosyjscy: Gogol, Satyrow — Szczedrin, Czechow czerpali podniecie do swej twórczości z mitologii i z nienawiści do istniejącego podówczas ustroju. Żyli i pisali w okresie najstraszniejszej reakcji. Ale miłość człowieka i wiara w przyszłość opromieniały satyryczne strony ich dzieł. Tych wielkich pisarzy wiódł do walki pozytywny ideał, o którym tak celnie wyraził się Satyrow — Szczedrin: „Żeby satyra była rzeczywistą satyrą i osiągała swój cel, trzeba, po pierwsze, żeby czytelnik wyczuwał ideę, kierującą autorem, a po drugie, sama satyra musi zupełnie jasno uświadamiać sobie cel, przeciw któremu kieruje ostrze”.

Z praktyki i teoretycznych wywodów tak klasyczny marksizm, jak i wielkich pisarzy rosyjskich wynika także współczesne zadanie satyry radzieckiej. Te zadania i założenia dają się sprowadzić do następujących stwierdzeń: satyra radziecka musi być w każdym wypadku głęboko polityczna i bojowa, musi oceniać fakty ze stanowiska klasy robotniczej, musi jasno rozznawać adresata, posiadając, swój pozytywny ideał.

Drugie aktualne zagadnienie — węższe, to miejsce satyry, jako gatunku w obrębie literatury. „Nowy Mir” piórem znanego prozaika Borysa Gorbatawa, protestuje przeciw wyodrębnieniu satyry, przeciw kanonizacji tego gatunku literackiego, jako czegoś bardzo specyficznego. Po pierwsze — pisze Gorbатов — „humor i satyra właściwie są całej naszej wielkiej literaturze radzieckiej, co więcej — nie dają się od niej oddzielić”. Zdaniami Gorbatawa satyra stanowi organiczną część każdego dobrego dzieła. Dla udowodnienia tej tezy Gorbатов powołuje się na doświadczenia i osiągnięcia Gorkiego, Majakowskiego, Szolochowa, Twardowskiego, Pasternaka, Michalkowa, Sofronowa, Marszaka i Isakowskiego. W dziełach wymienionych pisarzy nurt satyryczny ożywia całość utworu, jako jego część składową. „Umyślnie — pisze Gorbатов — przytoczyłem utwory z różnych zakresów literatury — poezję, prozę, dramat, pieśń, literaturę dla dzieci, — żeby pokazać iż nie można wyrywać z literatury „wyłącznie satyry”, że nie można wyosobnić jej z ogólnego rozwoju radzieckiego piśmiennictwa”.

Po drugie — zdaniem Gorbatawa — drogi rozwoju literatury radzieckiej świadczą wymownie o tym, że



Rys. S. Ar — („Smiena”) Zdław wojnę w zarodku!

tylko te dzieła, które „kształtowały się zgodnie z ogólnymi prawami naszej literatury — ściśle mówiąc na drodze realizmu socjalistycznego — tylko te osiągały zwycięstwo, święcili triumf, cieszyły się uznaniami narodu i długim życiem”. Do satyry, pozostającej w sprzeczności ze scharakterizowanymi powyżej założeniami, „Nowy Mir” zalicza humoreski Zoszenki, pierwszy okres pisarstwa Ilfa i Pietrowa, humorystyczne opowiadania Rykлина, Ardowa, częścowo Lencza.

Przejdźcie od socjalizmu do epoki komunizmu nakłada na satyrę większe obowiązki. Zmieniły się czasy, zmieniły się ludzie. Nie obniżając poziomu politycznego literatury, należy wysoko podnieść jej jakość, żeby sprostać zadaniom chwili, potrzebom wykształconego już smaku radzieckiego obywatela. „Podobnie jak od poezji i prozy — pisze „Nowy Mir” — również i od satyry żądamy bolszewickiej partyności i wysokiego stopnia artyzmu. Wymagamy od satyry tego samego czego żądamy i od każdego innego rodzaju literackiego: wierności prawdzie życiowej, płomiennego patriotyzmu i prawdziwej ludowości”.

Krytyka radziecka rozprawia się z błędnym mniemaniem, powstrzymującym rozwój satyry, jakoby w ZSRR nie było miejsca na śmiech szyderczy, bo nie ma z kogo się śmiać: wszyscy są bohaterami heroicznej epoki. Taki pogląd jest szkodliwy, nie odpowiada prawdzie. Warto przypomnieć postanowienie CK WKP(b) w sprawie pisma „Krokodyl”, żądające ubojowienia satyry w zakresie stosunków wewnętrznych: „Podstawowym zadaniem pisma — czytamy w tym postanowieniu — jest walka z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi”. Antyimperialistyczna satyra radziecka ma już określoną wysołą markę. Ale byłoby błędem grupować siły uderzania w kierunku jedynie zewnętrznym, byłoby błędem zaniedbywać satyrę o tematyce krajowej. „Czyż to prawda, że w kołach naszego radzieckiego społeczeństwa nie ma więcej tematów dla satyry? — zapytuje krytyka radziecka („Nowy Mir”). Czy to prawda, że tutaj nie ma już z kim walczyć? Tylko same uśmiechy i różę? Oczywiście, jeśli satyryk będzie się obracał ciągle w tym samym zaczerwianym kole znajomych postaci, to oręż satyryczny ulegnie rychło stepieniu. Ale właśnie partia wychowuje naszych pisarzy, aby ostrzem satyry godziły w „marnotrawców społecznego dobra, drapieżców i chytrosów, biurokratów, ludzi zarozumiałych, wygodniaków i banalnych”.

Ale satyra taka powstała w warunkach społeczeństwa bezklasowego musi być odmienną od swych poprzedników, musi być optymistyczna i twórcza. „Bieżącemu braku — pisze „Nowy Mir” — wiemy jednocześnie, że są one do usunięcia. Gromiąc przeżytki kapitalizmu w ludzkiej świadomości, wiemy jednocześnie, że są to tylko przeżytki, niedobitki dnia wczorajszego, a nie wrogi siły jutra. Wierzymy w siłę naszej prawdy i w siłę tego, co drukujemy. Na tej drodze zjawia się w naszej satyrze zgola nieznany w przeszłości rodzaj: „felieton polityczny”. Na tej drodze rodzą się satyra oraz humor, które biecują, ale zarazem utwierdzają naszą prawdę, nasz obraz życia, nasze ideały. Satyra ta pozostaje w ostrej walce z kapitalistycznym fałszem, z „amerykańskim stylem życia”, z obcymi, wrogimi człowiekowi „ideami” gangsterizmu”. Gatunek „politycznego felietonu” — został już prawo obywatelstwa w satyrze i cieszy się wielką poczytnością na łamach politycznych pism codziennych, szczególnie „Prawdy”.

Krytyka radziecka podkreśla osiągnięcia dotychczasowej satyry, wymieniając nazwiska: Zaslavskiego (felietony polityczne), Erenburga, Biezymińskiego, W. Katajewa, S. Michalkowa, S. Marszaka, Riabowa (felieton dziennikarski), S. Wasiljewa, S. Smirnowa, C. Szewcowa, D. Bielajewa, Słobodskaja oraz Dychawiczego i wielu innych. Ale stwierdza jednocześnie częste zjawisko nienadążania za życiem, wygodnictwa i braku pełnej, bojowej ofensywności. „Trzeba, żeby nasi satyrycy wyszli z gabinetów literackich” — wola Gorbatawa.

„Bardziej nawet niż nasi inni pisarze, — konkluduje prasa radziecka — radzieccy satyrycy i humorysty powinni rozumieć świat i czuć się bohaterami politycznymi, działaczami społecznymi, żołnierzami najbardziej ideowej i najbardziej ludowej prasy na świecie — prasy bolszewickiej”.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

O miłości

W powiecie kutnowskim wioska mała, w niej dwie sąsiednie rodziny, a tematem — miłość. W jednym domu średniak — ojciec, matka i syn. W drugim — malorolnik. Babka, trzech wnuków i wnuczka. Do wnuczki „chodzi” syn średniaka od pięciu lat. Kiedy zaczął chodzić miała 15, on — 19. Przedwzięcia minęło. Chcieli się pobrać, czy się jednak pobiorą? Kochają się, zaręczam a dramat narodził. Chłopak domowe pędził życie, zakopany z rodzicami w gospodarstwie, z tej też przyczyny poprzestał na 4-ch tylko klasach. A wnuczka malorolnej? Od jedenastego roku bez ojca i matki borykała się z życiem. Stara babka, jeden tylko brat starszy, dwaj inni dużo młodszy. Dziewczyna mimo to, skończyła gimnazjum handlowe. Dotąd i Wam i mnie jeszcze się wnuczka podoba. Ale dalej? Co powiecie o jej pomyśle — zostaw rodziców, wyjedźmy gdzieś do miasta? Chłopak się zgodził i wrócił — jak zwykłe do domu średniaków, zakopanych w gospodarstwie. A tam — przecież spadkobierca, opuścisz to nas i ziemi taki kawał? Masz 4 oddziały, ona — gimnazjum. Szkół ci brak, zawodu nie masz, kim tam będziesz przy niej we świecie. A tu — ona uczona w gospodarstwie nie będzie robić!... goła jak myś.

Czy takiej polityki wnuczka nie mogła przewidzieć? Dlaczego nie brała pod uwagę jego 4-ch klas i zakopa-

nia w gospodarstwie? Dlaczego po handlowce wróciła do babki i braci, aby im warzyć strawę i obrządzać inwentarz? Dlaczego przekreśliła szkołę? Jej miejsce było w GS-ie, albo w filii, w SOM-ie, w GRN-ie, w pobliskim PGR-ze. Goła, jak myś, ale w pracy buchalterki zaczęłaby znaczyć dla tych średniaków. Cóż uczyniła, aby zaczęli się wahać w jej stronę? Cóż uczyniła, żeby chłopaka oświecić, aby w sukcesję po starych nie patrzył, jak w pepek świata. Dlaczego on jeszcze nie widzi przemian, jakie już dzieją się i spełnią? Nauczył się od starych rachować dzieł się razy to samo dla pewności. Niech porachuje, w jakiej to wsi przyjdzie mu przeżyć większą część życia? Dziewczyna wróciła na wieś, jako nasza, nowa inteligentka. Wróciła z buchalterią, sztuką liczenia na wsi, no nowemu, liczenia w księdze, która pomieści — może rozchód i dochód całej gromady.

O, ślepa wnuczko! Gdybyś przyniosła z handlowki dynamit, gdybyś zorganizowała koło ZMP, gdybyś chociaż stanęła do pracy na wsi, jaką wyznaczyła ci szkoła...

Ale nie tylko ciebie oskarżam. Co robią „głowacze” gromady? Dlaczego drzemie GRN, szkoła, a przede wszystkim organizacje polityczne? Wolacie o kadry, a kiedy wracają Wam do rodzinnej wsi, nie Wasz to interes?

Jan Cichoń

Jak pracuje Rada Gminna

Czytaliście artykuł korespondenta Cegielskiego z Rawy Mazowieckiej w „Rolniku Polskim” (Nr. 47)?

Na wstępie artykułu dowiadujemy się, że GRN w Zelechlinie zorganizowała sesję wyjazdową w gromadzie Bukowiec.

„W zagajeniu przewodniczący Kamiński bardzo pięknie zobrał pracę w gminie Zelechlin”.

Z tego „zobrazowania” dowiadujemy się, że była urządzona wycieczka do spółdzielni produkcyjnej, chłopci zapoznali się z wyższą gospodarką zespolową, co zaś dotyczy pracy Kół ZSCH na terenie gminy, stoi ona „bardzo dobrze”, bo zarząd gminy ZSCH i Gminna Rada Narodowa „ściśle pracują z terenem”. Kiedy tak świetnie wszystko idzie, nie dziwnego, że przewodniczący nie użył oręza samokrytyki i nie puścił ani pary z ust o brakach i niedociągnięciach.

Teraz dyskusja. „Zabrał głos ob. Oziębło. Za surowo przedstawił sprawę założenia spółdzielni w gromadzie Bukowiec”. W rezultacie „ludność zaczęła się rozchodzić, bojąc się założenia spółdzielni”.

Aha, kolego, Cegielski! Oopiero jednemu z gospodarzy „udało się zatrzymać” wychodzących ludzi. I to ma być dobra praca GRN. Ładna sesja. A dla was praca GRN „wzorowa”.

— A co Wam się nie podoba? „Ze jedną z radnych była za mocno pomalowana w różowe kolory. Następnie jeden z radnych w czasie sesji mocno chrapał. Nie podobało się też, że Oziębło zbyt zawzięcie chce założyć spółdzielnię produkcyjną w gromadzie Bukowiec”.

Co w rezultacie wynika z waszej korespondencji? Że chcecie wykazać osiągnięcia, pochwalić władzę a boicie zacząć się o krytykę.

A przecież w naszej pracy korespondentki, co dobre powinniśmy chwalić, co złe krytykować, ulepszać błędy i niedociągnięcia. Musimy nauczyć się wyciągać wnioski z każdego wypadku, z każdej sprawy. Korespondent, to żołnierz walki klasowej, powinien godnie trzymać ten tytuł, a w waszej korespondencji nie uwidoczniła się to. I o to nam chodzi, kolego Cegielski!

Tadeusz Tomkiewicz

Rozmowa dwóch ksiązek

(Jest majowy poranek. Na ulicy, przed wystawą księgarń, stoi kiosk z książkami. Posłuchajmy rozmowy, jaką dwie książki prowadzą właśnie między sobą).

„Pan Tadeusz” (którego sprzedawca położył przed chwilą obok „Lalki”) — Dzień dobry koleżanko. Jak to miło znaleźć się na powietrzu.

„Lalka” — Oddycham tu z prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza, kiedy pomyślę o zadachu tych arystokratycznych salonów, które opisane są na mych stronach. Zresztą tam, gdzie trafiałam przed kilkunastu laty — nie było też inaczej.

„Pan Tadeusz” — Aż ciężko wspominać te czasy. Pamiętam, jak kupiłam przed wojną pewien dziełko. „Mam narzeczona” — powiedział do żony gdy wysiadł z brzozy przed dworem. Dziesięć lat przeleżałam w nierozciętych kartkach, aż w końcu, kiedy stałam się siwą z kurcz, wrzucono mnie beczernie do pieca.

„Lalka” — Tak, tak — przykre to wspomnienie. Ja, kiedy przywożono mnie dawniej do księgarń, byłam już z góry przygotowana na to, że będę leżała tam całymi miesiącami, przesuwana z kąta w kąt. Gdzieś wtedy mogłam marzyć, aby wyjść między ludzi na ulicę. Zresztą, gdyby to nawet nastąpiło, musiałabym przemykać się wstydliwie pod murem, widząc jakim wzięciem ciężej się „Trędowata” czy „Kwiat Jabłoni”.

(Do kiosku podchodzi w tej chwili uczennica. Książki milkną. Uczennica kupuje „Martę Orzeszkową”).

„Lalka” (ciągnie po chwili dalej): Pewnego razu do księgarń, w której się znajdowałam, wszedł gruby jegomość z kózką brodką, jak dowiedziałam się później — fabrykant mydła. Zażądał poleci mi w kilku tomach — sprzedawca pościł mnie i w ten sposób trafiłam do domu fabrykanta. Nigdy kolega by nie odgadnął, w jakim celu zostałam kupiona. Posłużyłam mianowicie za podkładkę na krzesło dla syna fabrykanta, który był niskiego wzrostu i do stołu dostawał zaledwie nosem...

(„Lalka” milknie znowu. Przy kiosku staje siwy człowiek ze zgrubiałymi rękami).

Stary robotnik do sprzedawcy: — Chciałam kupić „Pana Tadeusza”.

Sprzedawca — Proszę bardzo. Czy może coś poza tym?

Stary robotnik: — Owszem, ale to już drugim razem, bo teraz muszę kupić jeszcze coś dla wnuczki na imieniny. Za kilka dni przyjdzie po „Lalkę” Bolesława Prusa, co to nazywał się właściwie Aleksander Głowacki.

(Sprzedawca pakuje książki).

„Pan Tadeusz” (mówi szeptem do „Lalki”) — A więc, koleżanko, do zobaczenia. Dokonajmy naszą rozmowę, kiedy znów znajdziemy się obok siebie.

Tadeusz Gicgier

HENRYK JAKUBCZYK

D i a l e k t y k a

— Dzień dobry, Bogdalski! — rzekł życzliwie sekretarz. — A co was tu sprowadza?

— A to przyszedłem względem tego... Jak płaciłem fajerkę, to powiedziałem tamtemu ich urzędnikowi, żeby przysyłali do opłaty synowi osobno i mnie osobno. Bo wciąż tylko na mnie przychodzi. Na co to? Przecie syn ma osobną gospodarę.

— Osobną, osobną, ale nie przepiśaliście rejestralnie.

— Nnie... Ale gospodarujemy każdy na swoim, panie sekretarzu.

— A ile macie razem hektarów? — spytał teraz sam przewodniczący Mazan.

— A... siedem...

— Razem macie siedem?

— Syn siedem i ja siedem, panie wójcie...

— Nie jestem wójtem, tylko przewodniczącym GRN. No, więc razem macie przecież czternaście.

— Ano tak, panie przewodniczący, ale... ziemia u nas licha.

Banaszczyk na pytające spojrze nie Mazana odpowiedział kiwnięciem głowy. Wydał się zarazem ubawiony, jak i zaniepokojony badaniem Bogdalskiego, który rzucił mu szybkie spojrzenie.

— To za laskiem kalińskim, czy bliżej rzeki? — pytał dalej Mazan.

— Za laskiem i bliżej rzeki też...

— Kolo mostku?

— A ino...

— Tam przecież w zeszłym roku cebula obrodziła u was jak złoto!

— Ii tam... Trochę udała się dymka, ale w ogóle... Licha ziemia.

Bogdalskiego ziemia taka, jak u innych we wsi, słaba. Nie ma drugiej klasy ani kawałka — wręcił Banaszczyk, jakby recytował sprawozdanie komisji, szacującą ziemię.

Mazan o tym wiedział, tego twarz nie wyrażała jednak pretensji, że sekretarz przypomina mu elementarne wiadomości. Pomyślał chwilę i spytał.

— Podatki wpłaciście?

— Kto, ja?

— Tak, wy.

— Prawie... A to chciałem jeszcze zapytać, czy w gminie mam załatwić ten podział. Niby ziemi. Dla mnie i dla syna.

Banaszczyk objaśnił płynnie.

— Trzeba złożyć w powiecie podanie. W wydziale rolnictwa i leśnictwa. Przedtem tu u nas, bo my musimy podpisać wniosek.

Mazan wzruszył ramionami, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Bogdalski rzekł śpiesznie.

— A jeszcze... Chciałem spytać, bo... mówili, że tu jest u was w gminie jakaś... akcja, czy, inaczej, tak... powiedzenie... socjalistyczna, czy jakoś? Bo to ja chciałbym dostać na siostrę zasilek.

— A co jej jest? — spytał Mazan, poglądając na chłopca z nieukrywanym zdumieniem i zainteresowaniem, nie wróćącym nic dobrego.

— Bezrozumna i niemowa do tego. Nie ma żadnej pomocy, parobka też...

Mazan popatrzał pytająco na Banaszczyka. Ten pokłwał głową i rzekł:

— Siostra Bogdalskiego jest podobno niedorozwinięta, no i nie ma zębów, ani jednego. Mówią, że niemowa...

— ...i bezrozumna — dopowiedział Mazan. — To dokładnie tak samo, jak mówi Bogdalski. A może ona mało mówi, albo źle, no bo kiedy się nie ma wcale zębów?

Bogdalski kręcił się niespokojnie, Mazan zaś pytał dalej:

— A umie powiedzieć „kutak”?

Banaszczyk w lot zrozumiał, że Mazanowi nie chodzi o jakiś niewyszukany, prostactki dowcip. Spojrzał na Bogdalskiego, któremu zalatały oczka, ale nie nie zdradzało, żeby miał być zmieszany.

— Syczy tam coś i belkoce. Wiadomo: niespełna rozum... — rzekł łagodnie, jakby objaśniał nowinę zasnuconym krewynom.

— I co? Nic nie robi?

— Trzeba ją pilnować. Wtedy gotuje dla swiń, sprząta, doi...

— A teraz? O, południe — Mazan sprawdził na swoim wysłużonym zegarku — to kto ją pilnuje przy dojeniu?

Chłop skrzywił się nieznacznie i rzekł bez namysłu.

— Synowa... — urwał, jakby żałując odpowiedzi.

— To mieszkacie razem, tak?

— No, chatupa duża, choć już i marna, ale mamy osobno gospodarstwo.

— A syn ma parobka?

— Mma...

— To jak były teraz siewy, to parobek siał tylko dla syna?

— No, tak...

— A wam nikt nie pomagał, bo przecież nie macie żony?

— Syn trochę pomagał.

— To z was niezła rodzinna. Syn pomaga ojcu, jak przystało na porządne syna, a synowi parobek. A gdyby syn nie miał parobka, to pewnie powiedziałby ojcu: „Tatulu, wynajmijcie kogo do służby!” Nieźle. A jak prowadzicie rozliczenie dochodów? I co płacicie synowi za pomoc? Może odrabiać, co?

Bogdalski wybaluszył oczy i nie nie odpowiedział.

— A te czternaście hektarów, czy chociaż sprawiedliwie dzielicie do uprawy i do zbiorów? Czyj jest ten klin nad rzeką pod cebule?

— Synowa tam sadziła i piele...

— Dla kogo? — huknął Mazan, aż Banaszczyk podskoczył, całkowicie już teraz zaniepokojony, do czego to wszystko zmierzają, przewodniczący zaś rwał dalsze pytania: — Dla męża, dla was, czy może dla parobka?!

Bo chyba nie dla waszej bezrozumnej siostry?!

Bogdalski miał dość tej indagacji. Spoglądał bezradnie na Banaszczyka, który wściekał się, że mogło to oznaczać jakieś porozumienie między nim, a chłopcem. Mazan tymczasem nie czekał na odpowiedź i pytał znowu:

— Ile macie koni?

— Trzy...

— Czyje? Czy chcecie podzielić po równo?

— Nnie... Jednego by się dokupiło...

— Za czyje pieniądze?

— Syna. Jemu się lepiej wiedzie...

Ja już stary.

— A krów, ile macie?

— Cztery — wypalił chłop, nie ryzykując już liczby nieparzystej.

— Banaszczyk, sprawdźcie no u siebie — zwrócił się Mazan do sekretarza, usiłującego wynaleźć sobie zajęcie przy ostrzeniu ołówek.

— A swiń?

— Swiń? Jest parę sztuk...

— A ile tuczyście dla państwa?

— Dwie... Właśnie względem tego...

— podchwycił Bogdalski żwawo i niemal radośnie. — A to mi jedna zdechła. Marne dostałem z Samopomocy prosiaka... Kto mi teraz zwróci pieniądze i pracę? Przecież straciłem...

— A z czyjej winy zdechła?

— No, przecież nie z mojej. Takis liche sprzedawał.

Mazan parsknął śmiechem.

— A może to z was raczej lichy hodowca?!

— Nie wiem, ale słyszałem, że zdechły komuś... tam...

— No, więc widziecie, Bogdalski — Mazan uśmiechając się podsumowywał, taki przynajmniej przybrał ton.

— Coś u was nie w porządku. Macie lichą ziemię, ale cebula udaje się. Siostra bezrozumna i niemowa, ale coś tam robi i zdaje mi się tego pracuje, chociaż syczy i belkoce, że ją gnacie do ciężkiej roboty. Gospodarstwo z synem prowadzicie osobno, ale mieszkacie razem i dzielicie się parobkiem, płonami i podatkami pewnie też. No, i te konie — trzy — chodzą sobie grzecznie po całym gospodarstwie jednakowo, a krowy... Ile mają krów? — rzucił Mazan w stronę Banaszczyka, który miał już gotową odpowiedź, że pięć i jedną jatówkę.

— No tak — ciągnął przewodniczący. — Mówiliście inaczej... Może wam jedna zdechła? Wstyd Bogdalski, niemłody już jesteście, a takie się was trzymają dowcipy. A swinie zabiliście pewnie na święta, co?

— Syn zabił.

— A wzięliście udział w naprawie drogi w ramach zobowiązań pierwszomajowych?

Bogdalski miał już wyraźnie dość wszystkiego. Wgniół papierek, trzymany w ręce do kieszeni i odwrócił się w stronę drzwi.

— No, to do widzenia.

Wyszedł śpiesznie i tak jakoś chyłkiem, że Mazan nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Ma jeszcze o h o d y, stary. Jak to się uwinął z wyjściem, co?

Pytanie było wyraźnie zaadresowane do Banaszczyka i oznaczało lżejszy ton omówienia wizyty Bogdalskiego. Sekretarz jednak zamyślił się jakoś i powiedział z przymusem:

— Aleś mu dosioli... A skąd wiedziałeś o tej cebuli?

Henryk Jakubczyk

Średniacka filozofia

Co pojął bardzo szybko średniak, Wojtka Władysław we wsi Grochowski (pow. Żnin)? Skoro wyczał, a czyta gazety pilnie, bo wie, że doszła on wciąż o nowych korzyściach dla rolnika, skoro — powtarzam — wyczał, że chłopom mało i średniololnym przysługuje prawo pomocy ze strony POM-ów i SOM-ów, jakich swoim rozumem, bez braku siły pociągowej w dostatecznej ilości, na jaki on cierpi, łatwo wyrówna mu POM.

Napisał więc do POM-u w Galkówku prośbę o zaoranie mu 3 ha gruntu, położonego w jednym kawałku.

Otrzymał po 6 dniach odpowiedź tej treści: „...POM może udzielić pomocy, jeśli w gromadzie znajdzie się więcej chętnych gospodarzy. Najlepiej byłoby zorganizować zespół uprawowy na bieżące wiosenne siewy, z usunięciem miedzy, aby ułatwić pracę traktorom i najlepiej je wykorzystać”.

Jak z kolei pojął średniak to oświadczenie? Tego już nie pojął. Albo, jeśli wolicie, udał, że nie pojął.

Po co mu szczegółowe prawo, kiedy szczegółowe wymaga, aby wyjść na przód i coś zrobić dla osiągnięcia przysługującej pomocy i korzyści. Nasz średniak został przy ogólniejszym prawie. Ogólniejsze bowiem mówi po prostu o prawie korzystania z usług POM-ów i SOM-ów.

Ale średniak lubi gadać, musi gadać. No i wyszło szwido z worka. Wojtka filozofuje. „Jeśli nie ma więcej chętnych gospodarzy, czy mnie oświadczenie

przysługuje żadna pomoc, czy przepisy faktycznie tak ten stan rzeczy określają?”

Innymi słowy, co mnie obchodzi sprawa mówienia kilku gospodarzy, co mnie obchodzi sprawa organizacji pracy POM-u. A przecież polega ona na tym, że w ograniczonym czasie udziela pomocy wielu wsiom. Wyobraźmy sobie 20 wsi o dużych obszarach pod orkę traktorową i 20 następnych z jednym Wojtkiem w każdej. Dokąd ruszą najpierw traktory? Tam gdzie czeka wielu chłopów, gdzie pomoc idzie dla wielu i wielu chroni przed stratą.

Ale Wojtka nie to nie obchodzi, niech zajeżdżają do mnie, bo chłopu przysługuje prawo!

Długo ma język Wojtka. Jeszcze filozofuje. „Więc ziemia moja będzie musiała leżeć ugorom, ponieważ brak mi własnej siły pociągowej a POM pomocy udzielić nie może”.

A pomoc sąsiedzka ob. Wojtka? Wy jej nie chcecie widzieć, wy jej nie żądacie? Wy nie oskarżacie gromady i GRN-u o brak zorganizowania pomocy sąsiedzkiej (jeśli ją zaniedbano)? Wam tylko POM w głowie! Na waszej prywatnej służbie? Ta filozofia mówi nam, że nie żyjemy z gromadą, że lekceważymy sobie społeczną organizację pracy i pomocy, jaka już wyrosła na wsiach indywidualnie gospodarujących chłopów. Przez taką organizację mielibyście i POM, mielibyście pomoc sąsiedzka w orce wiosennej.

Wojciech Pawelec

„Święta rodzina” kulaka

Czytałem ponury list. Ukazuje on kulaćwo od strony „domowego ogniska” i „świętej rodziny”. Wejrzyjcie w bogobojność poznającego kulaka.

W r. 1948, po sierpniowym plenum Partii żenił się syn kulaka Kmiecika (13 ha) we wsi Nosków — Kaplica, w powiecie jarocińskim. Żenił się z dziewczyną bez ziemi, która z pracy wniósł uciulenie jedynie wiano — 100.000 zł. (w starej walucie).

Pamiętajcie, było to już po sierpniowym plenum, do domu wchodziła synowa — bezrolna. Mogła się taka rzecz wydarzyć? Mogła, bo ona się w rezultacie nie zdarzyła. Cóż z tego, że syn szarpnął się i postąpił według swej woli. Na miłość żadna arystokracja nie ma sposobu, ale na jej zrujnowanie — zawsze. Stare Kmieciki zajęły praktycznie klasowe stanowisko wobec dokonanego faktu. Oboje — synowa i syn od pierwszego dnia ślubu ustawieni zostali na pożyczkach małżeństwa parobków w domu świętej rodziny kulackiej.

„Pracowaliśmy — pisze synowa — od pierwszego dnia jak najmyś i gorzej nawet, bo za darmo a znaczącemu nie było końca. Starzy zamykali przed nami żywność, mnie przezywali czarnym diabłem, hanemanem i złodziejem, męża — odszczepieńcem i wywrotowcem. A jaki on tam, cichy i zahukany. W jednym tylko nieustępliwy — mnie kocha i łapczywości w nim na ziemię żadnej. Ale cośmy przeżyli, ja musiałam nawet w ciąży do ostatniego dnia ciężko pracować. A gdy się urodził nasz synek, tośmy go musieli owinąć w pożyczoną pieluszkę, bo nie mieliśmy za co kupić, cała kasa gospodarstwa w rękach teści-

cia. Już na niemowlę rzuciła teściowa przekleństwo: dziecko bandytów.

A z własnym synem co zrobili? Na wywózkę z lasu gnali go w zimie, aby nachapać jak najwięcej grosza i zaziębł się mój mąż, dostał suchoty. Na leczenie starzy nie dawali. Doszło teraz do tego, że jednego dnia stary rzucił na stół 1000 zł. i kazał iść precz. Już się zmieszcł na synu, wpędził go w chorobę, a teraz wyrzucił nas z domu wraz z dwójkiem dzieci (2 i pół roku i 8 miesięcy). Córke sprowadził na gospodarstwo, będzie dziedziczka.

Ja się was pytam. Co mamy z mężem robić? Myś w na powrót do tej jaskini nie prostym. Ale czy parobkom, którzy pracowali 4 lata, nie należy się zapłata za ten okres czasu? Czy pokręcała rodzina może służyć aż dwa razy do wyzysku? Tak, byliśmy parobkami u kulaka, nie mamy więc prawa żądać wynagrodzenia, wyrzuceni z chorym mężem i małymi dziećmi!”

Gminna Rada Narodowa! Zajmijcie się sprawą Janiny Kmiecik i jej męża. Obnażcie „świętość” rodziny kulackiej.

Jan Kurzoleka

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze w miejscach przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Prenumerata i koloportaz: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 404-20 do 25

Te. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-86. Od wewnętrzny 91, 65. REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Wpłat na prenumeratę można dokonywać Płac 3 Kizyby 18, Chmielna 25.

Warunki prenumerat: miesięcznie 3.— zł. kwartalnie 9.—, półrocznie 18.—, rocznie 36.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6432 110 z zaznaczeniem „za tw.” „Wiek”

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19104